SIOSTRZANE DUSZE.

TEOD. TOM. JEŻ.

SIOSTRZANE DUSZE

POWIEŚC.

Nakładem wydawnictwa M. Dzikowskiego.

WARSZAWA.

Drukiem Alaksandra Pajewskiego, Niecała Nr. 12.

1872.

[redacted]

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ.

Варшава 23 Февраля 1872 года.

I.

— Cóż tedy?... zapytała pani Julja męża, gdy ten wysiadłszy z karety, wszedł wprost do salonu.

Pan Stanisław machnął ręką i odrzekł:

— Skończyło się...

Głos jego drżał. Z oczów strzelało mu niby obłąkanie.

Pani jednakże tego nie widziała. Zajęta robótką w krosienkach, nie popatrzyła mężowi w oczy, a na głos jego snadź nie zważała.

— Cóż przecie?... powtórzyła od niechcenia zapytanie.

Obojętność w intonacji jéj głosu w żywéj stała sprzeczności ze wzruszeniem, malującém się w oczach pana Stanisława.

— Co?... odpowiedział ten ostatni i westchnął; po westchnieniu uśmiechnął się, a po uśmiechu głową smutnie pokiwał i dodał:

— Ruina nasza jest zupełną...

— Zupełną?... Co to znaczy?... wycedziła pani przez zęby, nie odrywając ócz od kanwy.

— Juljo!... podchwycił żywo pan Stanisław. Nie zapytuj mnie tym tonem... na Boga!... nie zapytuj tym tonem... Słyszałem go przez lat piętnaście... Przez lat piętnaście brzmiał on mi w uszach i popędzał mnie naprzód i naprzód... Juljo!...

Pani Julja, podniósłszy głowę, spojrzała mężowi w oczy i zimno a powoli rzekła:

— Jeżeli to wymówka, to... może... zapóźna...

— Wymówka i zapóźna... odparł pan Stanisław. Do zrobienia jéj zbierałem się przez lat... piętnaście... Och!...

Uderzył się dłonią w czoło i podszedł ku oknu; ręce na piersiach skrzyżował i utopił wzrok w ogrodzie.

W ogrodzie w téj chwili było cudnie. Pod ożywczém działaniem wiośnianego słońca, trawniki zazieleniały, kląby kwieciem się okryły. Stał i patrzał niby na trawniki i na kwiaty, a cała postać jego wyrażała jakieś wewnętrzne złamanie, powleczone jakby pokostem smutnéj zadumy.

O czém on myślał?

Powieściarz ogromne posiada przywileje. Ma on prawo wnikać w najgłębsze tajniki serc i dusz.

Silny tém prawem, pozwolę sobie wyjawić myśli pana Stanisława.

Myśli jego skupiły się w jeden punkt, a ten punkt było to wspomnienie jednéj w jego życiu chwili. Nad chwilą tą przeszło już lat piętnaście — pomimo to, przedstawiła się mu ona tak żywo i świeżo, jakby drżała jeszcze życiem i ciepłem wczorajszego dnia. Cudnaż-bo to, zachwycająca była chwila.

On był młody, kipiał zapałem, dusza jego rwała się do piękna.

Przyjaciele, których liczył na setki, zwali go „poetycznym Stasiem", pomimo, a może właśnie dla tego, że był wdowcem i ojcem. We wdowieństwie bowiem jego była jedna szczególność, o któréj wszyscy wiedzieli a która otoczyła go blaskiem bijących od złota promieni. Nieboszczka jego żona, na parę godzin przed skonaniem, kazała przywołać notariusza, podyktowała mu testament i podpisała go przy świadkach drżącą ręką. Podpis ten uczynił go panem milionowéj fortuny i tak go głęboko wzruszył, że padł przed umierającą na kolana, ręce wzniósł do góry i przy świadkach przysiągł, że będzie sumiennym i troskliwym opiekunem majątku i dziecka, które przed chwilą powitało świat kwileniem.

Była to scena rozrzewniająca. Wszyscy obecni płakali, słuchając uroczystéj przysięgi, zakończonéj wyrazami:

— Powtórnie się nie ożenię... Nie, nigdy...

To „nigdy“ trwało przez lat trzy. Przez ten czas poetyczność pana Stanisława tak się upowszechniła, że przyjaciele, dla których stał się bardzo drogim, nie zwali go już wcale ani po imieniu ani po nazwisku. „Poetyczny“ zastępowało „Staś Ciołecki“.

Na czém-że zależała jego poetyczność? Czy wiersze pisywał? — nie; czy malował? — nie; czy grał na jakim instrumencie? — nie; czy?... hm! był sam instrumentem, z którego wydzielało się piękno? — może — nie wiem — dość, że go podejrzywano, iż mógł by pisywać wiersze, gdyby zechciał, mógłby malować, gdyby zechciał, mógłby grać, gdyby zechciał — podejrzywano w nim uzdolnienie do wszystkiego, co jest wzniosłem, szlachetném i pięknem....

Naprzykład: nikt by był nie uwierzył, że nie dotrzyma danéj nieboszce przysięgi. On sam byłby w złamanie przysięgi w takim chyba tylko razie uwierzył, gdyby był wiedział, że na drodze żywota jego, którą on po śmierci żony iść miał, stoi... Beatryksa. Nie wiedział o tém: jegoż to wina?

A była taka piękna... jakby umyślnie na heroinę poematu stworzona — jakby była kobietą zaklętą w pieśń, wcieloną w pannę na wydaniu.

On był wcieloną poetycznością; ona była wcieloną pieśnią. Zeszli się ze sobą. Czy był sposób rozejść się?

Świadkowie testamentu gotowi byli przysiądz, że Staś przysięgi dochowa. Ci co przy testamencie nie byli, wątpili o tém. W opinji publicznéj, otaczającéj osobę Stasia, sformowały się dwie partje: zawzięta mniejszość i pewna siebie, spokojna, a trochę szydersko uśmiechnięta większość. Pierwsza zaklinała się:

— To być nie może, chyba cześć i prawda nie istnieją na ziemi...

Druga odpowiadła:

— Zobaczymy...

A kiedy ta sprzeczka zajmowała opinję publiczną, ona, pieśń wcielona, wyjęknęła pierwsze, ciche:

— Kocham...

Możnaż było to „kocham schować do kieszeni?"

Księżyc świecił, róże pachły, słowik śpiewał... „kocham" zabrzmiało i brzmiało, otoczone światłem, wonią i śpiewem....

Tę to chwilę wywołała i uprzytomniła pamięć pana Stanisława, kiedy ze skrzyżowanemi na piersiach rękami, stanął przed oknem.

Julja siedziała przy krosienkach. On stał.

Przez całych lat piętnaście czar owego „kocham" nad nim trwał.

Julja została jego żoną i nie przestała być kochanką; została dla jego dziecka „drugą“ matką i nie przestała być kochanką. Zawsze była ona tą samą Julją, która do księżycowego światła, do róż zapachu, do słowiczego pienia, dorzuciła wybłagane, wymodlone:

— Kocham...

I umiała się utrzymać na stanowisku kochanki. Umiała męża tak własną zająć osobą, że sobą i tylko sobą zapełniła całe jego życie.

Była to kochająca i... drwiąca. Unosiła go w niebo, lub, smagając po sercu, spychała na dno piekła. Stanisław żył przez nią i dla niéj. Wszystkie jego szlachetne popędy, cały zapas poetycznego zapału zwróciły się ku niéj. Przyjaciele i znajomi powiadali o nim, że się dostał pod pantofel, ale natychmiast dodawali:

— Cóż, kiedy mu z tém dobrze...

I, w saméj rzeczy, było dobrze. Świat, społeczeństwo, obywatelskie obowiązki, nie istniały dla niego. Ile razy szlachetniejsza jakaś myśl strzeliła mu z ust zamiarem poniesienia bądź własnéj osoby, bądź mienia, bądź tylko cząstki majątku na ołtarz powinności, zawsze myśl tę zabiło wołanie Julji:

— A ja?!...

I natychmiast rzucał wszystko i wracał do niéj i błagał ją o przebaczenie, iż śmiał pomy-

ślеć, że po za nią są jeszcze jakieś obowiązki i powinności.

Julji „ja“ ożenione z wyrazem „kocham“ było owym promotem, o możliwość utworzenia którego podejrzywali go ludzie. Stworzył go... dla siebie — i pogrążył się weń cały. Owionął się urokiem — dymem, jak olimpijski bóg. Dla świata zamknął oczy, rozum, serce, kieszeń — żył dla niéj, a przez nią dla siebie.

On i ona i wciąż ona: oto był świat, który sobie krążył, krążył i krążył w przestrzeni, aż wierzyciele na ten świat zawołali:

— Stój!...

Stanisław stanął przed oknem i wzrok na klombie róż zatrzymał. Jakby zaklęciem czarodziejskiéj różczki wywołane, stanęły przed nim: świecący księżyc, pachnąca róża, śpiewający słowik i wyrazy „kocham ciebie“. Dziwna rzecz! w tém wszystkiem, pierwszy raz w życiu, upatrzył złą stronę: w księżycu — pożyczane światło, w różach — narkotyzm, w słowiku — powtarzanie się, a w wyrazach „kocham ciebie“— malutką zmianę, która po tylu leciech, teraz dopiéro, w uchu mu zabrzmiała. Na miejscu *c* było *s*, zamiast „kocham ciebie“—„kocham siebie“.

— Ta kobieta, rzekł w duchu — kochała i kocha... siebie...

I to, co miał za szczęście, przedstawiło się mu w odmiennem świetle. Szczęście zbladło, a na jego miejsce wystąpiło jaskrawie — upokorzenie. Poemat rozwiał się w powietrzu. Poznał, że żył złudzeniem...

Jakby rachunek sumienia na ostatecznym sądzie, przesunął się przed nim szereg złudzeń, w których rzeczywistością było tylko to, że był igraszką w ręku bardzo zręcznéj kobiety — komedjantki, która po mistrzowsku przed laty odegrała rolę kochanki, a następnie z najlepszem powodzeniem grała rolę żony i matki. Poznał, czego się dawniéj, ani domyślał, że miłość Julji była wędką. W imię miłości wzięła go sobie na męża i, jako męża, eksploatowała. Oczy mu się, jak to powiadają — otworzyły. Ujrzał przed sobą kobietę—egoistkę, która go z zimną krwią pędziła do... ruiny....

I zrujnował się, nie na dobre uczynki, nie na szlachetne przedsięwzięcia, ale na odgadywanie gustów żony i dogadzanie takowym. Zrujnował się doszczętnie, na sumieniu i majątku. Sumienie przycisnęły wyrzuty, majątek weksle...

Odwrócił się od okna, popatrzył przez chwilę na pochyloną nad krosienkami i powtórzył:

— Jesteśmy zrujnowani...

— Co to znaczy?... zapytała pani nie podnosząc oczów od robótki.

— To znaczy, że jutro będziemy bez dachu i bez kawałka chleba...

— Cóż to do mnie należy?...

— Jesteś moją żoną...

— Przed piętnastu laty było to nowiną ciekawą dla mnie i dla ciebie... Ale dziś, po zaspokojeniu ciekawości nie warto już te wyrazy tak patetycznie wymawiać... Nie w czas się wybrałeś, Stasieczku...

Na ostatnim wyrazie oparła akcent. Było to do najwyższego stopnia złośliwością. Stasieczek liczył do pięćdziesięciu lat.

— Masz rację... odparł pan Stanisław, hamując w sobie wzbierający gniew — o! masz rację. Mylisz się tylko w jednym względzie... Nie jako ciekawość, ale jako przypomnienie zakomunikowałem ci wiadomość, że jesteś moją żoną...

— Jako przypomnienie?... To chyba sam potrzebowałeś przypomnieć sobie o tém... Owóż, kiedy już o to chodzi, to i ja z mojéj strony przypomnę ci, że nietylko moim mężem: jesteś oraz ojcem... twojéj... córki...

— Uprzedzasz moje myśli.... Wyjęłaś mi z ust wyrazy... podchwycił Stanisław.

— Ale, do czego to wszystko zmierza?... zapytała pani.

— Do tego, żeby ci powiedzieć, żeś o tém, iż jesteś moją żoną i zarazem mojéj córki matką,

nie pamiętała w ciągu piętnastu lat naszego pożycia...

Pani ramionami wzuszyła. Pan ciągnął dalej:

— Bez ciebie mogłem być czemś, przez ciebie zostałem niczém... gorzéj niż niczém, bo bankrutem na rozumie, na sercu, na sumieniu, na majątku... Jutro stanę się celem ludzkiéj pogardy... a ze mną i ty i... moja córka...

— Cóż jutro?... zapytała pani, patrząc mężowi w oczy.

— Cały nasz ruchomy i nieruchomy majątek pójdzie na zaspokojenie wierzycieli, to znaczy, że nawet ślubne nasze obrączki z publicznego targu zostaną sprzedane...

Wyraz zatrwożenia strzelił z oczów pani Ciołeckiéj. Pan Stanisław zaśmiał się głośno, a w jego śmiechu było coś nienaturalnego i dzikiego. Ten śmiech jeszcze bardziéj panią Julję strwożył.

— Stanisławie! co ci?... zawołała.

— Nic, Juleczko... odparł mąż z udanem przymileniem. Śmieszy mnie tragi-komiczny koniec naszéj karjery. Wielkie państwo pójdzie z torbami. Dla żebraków z professji będzie to niepospolity tryumf, a wielki świat, ani się spostrzeże, iż z jego sfery ubyła cała rodzina, mąż, żona i córka... Nie zostawimy po sobie ani żalu, ani nawet wspomnienia... Biedna Lucyna...

Tu głęboko westchnął.

W oczach pani trwoga wzrastała i zmieniła się w przerażenie.

— Czyż nie ma rady!?...

— Nie ma... odrzekł pan Stanisław sucho.

Pani uderzyła w płacz.

Z nią w tym momencie stało się to samo co z panem Stanisławem przed chwilą. Pobiegła myślą wstecz i wywołała wspomnienie, to samo które i pan Stanisław wywołał. I powiedziała sobie w duchu:

— Jakżem się oszukała....

Ten był jéj łez powód.

— Biedna Lucyna... powtórzył pan Stanisław.

— A ja?... przez łzy odparła pani Julja. Ja nie mniéj biedna, jak ona... Byłam tak pewną szczęścia...

— Cha cha cha.... zaśmiał się pan Stanisław. To, to i źle, żeś o zapewnieniu własnego tylko myślała szczęścia... W tém powód nieszczęścia...

— Które, szlachetny mężu, starasz się uzupełnić zapóźnymi wyrzutami, podchwyciła pani.— Trzeba było przewidzieć i zapobiedz... Miałeś na to czasu dość... W tém wszystkiem, jeśli kto winien, to nikt, tylko ty...

— Ty.... ty!!... ty!!!... wstając i rękę wyciągając, krzyknęła trzykrotnie z wrastającą gwałtownością.

Była blada, usta jéj drżały, oczy oschły i krwią nabiegły, na policzkach lśniło się kilka łez. Scena małżeńska groźny przybierała obrót.

— Ty byłeś mężem! ty prowadziłeś interesa! Odpowiedzialność za moje i Lucyny nieszczęście, całym ciężarem spada na ciebie!...

— Niezawodnie... podchwycił pan Stanisław tonem spokojnym. Nie myślę téż się usprawiedliwiać, ani winę moją zmniejszać... Byłem głupi... Uwierzyłem w twoją miłość...

— Niewdzięczny!... z teatralną gwałtownością przerwała pani Julja.

— Proszę!... to mam być wdzięcznym?... zapytał pan Stanisław tonem kłamanéj grzeczności.

Pani odpowiedziała spojrzeniem, malującém gniew i pogardę.

— Przyznaję, żem na taką odpowiedź zasłużył, za to, że po ślubie pozostałem twoim kochankiem... Piętnaście lat upłynęło mi jak chwila snu... Przebudziłem się... sen był śliczny, ale przebudzenie okropne... Pogarda ludzka zaczyna się od pogardy, z jaką na mnie ty spojrzałaś, ty, moja kochanka... Słusznie... Źle poprowadziłem interesa... Za kulisami życia, kochanków od kochanek często podobne spotykają wymówki i podobna pogarda... Następstwo złudzeń nie może być innem... Póki złota, póty szacunku; nie stało złota?... pogarda...

— Niegodziwy!... wycisnęła pani Julja przez zęby.

Stanisław głową pokiwał, ręką machnął, przeszedł się parę razy po pokoju, stanął na środku, westchnął i rzekł:

— Chcę być mężem przez jeden dzień...

Spojrzał na zegarek:

— Przez dwadzieścia cztery godziny... Jutro po południu zjedzie urząd do spisania i opieczętowania naszych sprzętów, domu i wszystkiego co było uaszém... Więc do jutra, chcę być mężem i panem... Chcę godnie zejść z tego świata...

Gdy to mówił z oczów strzelało mu obłąkanie, nie to wszakże, które ludzi do Bonifratrów prowadzi, ale to, które świadczy o niezłomnem postanowieniu popełni•nia jakiegoś dziwactwa. Ludzie słabi, jakim był nasz pan Stanisław, zdolni są do podobnego rodzaju wybryków. Zdarza się im to rzadko, jednakże — zdarza się. Od raz powziętego postanowienia nic ich odwieść nie w stanie, ani prośba, ani — tém mniéj — perswazja. Im dziwaczniejsze, tém się go chwytają mocniéj. Takiem było jego ożenienie, od którego wszyscy co mu sprzyjali odprowadzić go chcieli, takiém—następujący zamiar:

— Dam bal...

Pani Julja myślała, że mąż żartuje. Lecz wyprowadziły ją z błędu jego oczy, które mówiły „tak chcę, tak być musi“. Próbowała wszakże:

— Zastanów się...

— Trzeba było ten wyraz choć raz w ciągu naszego pożycia wymówić... Dziś już nie czas... Pomyśl raczéj o toalecie dla siebie i Lucyny... Chcę się zabawić kosztem moich wierzycieli...

— Cóż na to powiedzą ludzie?...

— Pogardzą mną czy tak, czy owak... Ale na bal się zejdą dla oryginalności... Bo przyznaj sama, że pomysł to oryginalny... Wszyscy mają mnie za bankruta, pogrążonego w rozpaczy, ogryzającego do krwi własne kułaki i rwącego sobie włosy z głowy... Będziemy więc mieli gości dużo... Może Lucyna serce jakie podbije...

Ostatnie wyrazy były dla pani Julji promieniem światła w ciemności. Pomysł męża, który wydawał się jéj wyrazem obłąkania, wydał się natchnieniem, zesłanem przez opiekuńczego genjuszu. Błysnęła jéj nadzieja:

— Może Lucyna serce jakie podbije...

II.

Lucyna, panna licząca pełnych ośmnaście lat, stworzona i kształcona była do podbijania serc. Pod tym względem, ze strony natury i ze strony sztuki danem jéj było wszystko. Natura wy-

posażyła ją w piękność, sztuka w tak zwane wychowanie.

Piękność jéj przedstawiała dziwną, bo rzadko zdarzającą się wykończoność tak w całości jak w częściach. Jakby wyszła z rąk Fidiasza. Wszystko w niéj było klasyczne: i twarz i kibić i zaokrąglenie ramion i wytoczenie ręki i „ciążący głowie jedwabną wagą“ warkocz.

Wychowanie jéj było zwykłem, bardzo starannem i rozwijającem głównie tę stronę, która rozwoju nie potrzebuje, będąc przyrodzoną właściwością płci. Tą stroną jest zalotność, zależąca na sztuce przyciągania przez odpychanie. Dla wydoskonalenia téj to zalotności odbyła Lucyna cały kurs nauk, zacząwszy od elementarza z obrazkami, z którego dowiedziała się, że dziewczynka powinna uważać na siebie, skończywszy na zabronionych i właśnie dla tego czytywanych romansach francuzkich, na których kształciła znajomość serca ludzkiego. Pomiędzy elementarzem, a romansem szykowały się szeregiem nauki, udzielane w sposób homeopatyczny, ze skróconych skróceń i zaprawiona duchowym obroczkiem pod postacią przykładów. Pomiędzy przykładami najważniejszym był macoszyn, a w macoszynem życiu najważniejszém było to, że złapała męża.

Pani Julja tego faktu nie opowiadała pasierbicy. Lecz on się opowiedział sam. Panna Lucyna nieledwie codziennie z ust macochy słyszała, że celem życia kobiety jest zapewnienie sobie szczęścia, a środkiem do szczęścia— małżeństwo. Z tego wypadało, że po za małżeństwem szczęścia nie ma, a zatem, wyjście za mąż, jest to pewien rodzaj kamienia filozoficznego, dzielącego się na gatunki: zły, nie zły, dobry i bardzo dobry. Należy się starać o ten ostatni, to znaczy, otoczyć potrzeba własną osobę wszystkiemi urokami i ponętami, w celu dostania dobrego męża.

„Dobrego męża“ pani Julja w następujący komentowała sposób:

— Nic trudniejszego, jak poznać mężczyznę i odgadnąć, jakim on będzie mężem. Dla tego najlepiej, nie łamać sobie głowy nad odgadywaniem, a starać się o takiego, który może zapewnić byt dostatni i niepodległy...

„Starać się“ — ten wyraz wiele znaczył. Był on edukacyjną osią. Dla niego uczyła się Lucyna mówić płynnie trzema obcymi językami, francuzkim, niemieckim i angielskim; dla niego brała lekcje muzyki, śpiewów, tańców i rysunków; dla niego manierowała się; dla niego pielęgnowała płeć, włosy, zęby, nogi i paznogcie; dla niego studjowała żurnal mód; dla niego zaczęła i skończyła edukację; a skończywszy nauki

w siedmnastym roku życia, przebrała się w długą suknię i wystąpiła na salonowe przeglądy.

Pani Julja była dumną swojem — jak powiadała — arcydziełem.

Lucyna bo i najwybredniejszą matkę zadowolnić była w stanie. Udała się na podziw. Mówiła biegle i z jak najlepszym akcentem trzema obcymi językami. Podziwiano zwłaszcza jéj angielszczyznę, tak trudną do nauczenia się nie w Anglji. Mówiąc językiem Szekspira, zaokrąglała i krzywiła usta i pokazywała w *the* język jak rodowita Angielka. A jak jéj z tém było do twarzy. Zdawało się, jakby chciała interlokutora ugryść za nos — i każden interlokutor gotów był z rozkoszą podstawić nos pod szeregi białych, mysich ząbków, wyglądających, według porównania użytego w pieśniach nad pieśniami „jak trzoda owiec strzyżonych, wracających parami z kąpieli,“ ząbków ożenionych z koralowemi najpiękniejszego wycięcia ustkami, oskrzydlonemi przez dwa dołki w jagodach i — zdaje się umyślnie stworzonemi, ażeby w języku Szekspira mówić „*j love yon*,“ w języku Goethego „*ich liebe dich*,“ w języku W. Hugo „*je t'aimes*,“ w języku Mickiewicza „kocham ciebie.“ Grała nie jak Szopen, spiewała nie jak Patti, w jéj jednakże graniu było coś, co o struny serca potrącało. Tańczyła zachwycająco, rysowała nie źle,

zwłaszcza karykaturowane portrety, szkice doskonale się jéj udawały. Słowem była doskonałość, któréj nie brakło nic.

Dla czegóż, ani w siedmnastym, ani w ośmnastym roku życia, w żadnym z języków, któremi tłomaczyć umiała myśli i uczucia, nie znalazła sposobności do powiedzenia „kocham ciebie?“

Dla czego? — łatwa odpowiedź. Nie znalazł się nikt, godzien z tak pięknych ust ten sakramentalny usłyszeć wyraz. Macocha powtarzała jéj:

— Nie spiesz się... Trafi się co dobrego? dobrze; nie trafi się? możesz jeszcze poczekać... Jesteś jeszcze w dobie, w któréj z każdym dniem zyskujesz na wartości...

I miała najzupełniejszą racją. Lucyna była jak kwiat strzelistéj róży, który już z pączka wystrzelił, lecz jeszcze nie rozwinął środkowych listków. A przytem była biedną i hardą—dwa powody, dla których hołdownicy nie cisnęli się do jéj stóp. Ludzie doskonale znali stan interesów pana Ciołeckiego. Wiedzieli, że goni ostatkami kredytu. Więc oglądali ją zdaleka, jak towar, który im późniéj tém taniéj się da nabyć. Ludzie więc także mieli rację. Dla tych dwóch racyj, pomimo powszechnie uznanéj piękności i świetnego wychowania, pomimo całéj stuczności z jaką pani Julja pokazywała przybraną cór-

kę światu, zastęp jéj hołdowników składał się z samych znaków zapytania i to tém bardziéj, że pani Julja szeregowała w nim wyłącznie bogaczy, których panna Lucyna szkicowała ołówkiem w charaterystycznych obrazkach. Takich szkiców posiadała duże album, pod tytułem „*Ćwiczenia.*“ Jakoż rzeczywiście były to ćwiczenia, ale w sensie chłosty, która kapryśnemi rzutami ołówka smagała zarówno panów i panie, starych i młodych. Rozumie się, iż to album było tajemnicą familijną. Ojciec i macocha uśmieli się serdecznie za każdém pojawieniem się nowego szkicu, lecz nie chwalili się z tem przed ludźmi. Talent panny Lucyny nie znanym był światu.

Lecz, co tam—ten talent! Posiadała ona inne, którymi, niby perły garściami, siała przed bogaczami — i nadaremnie. Posłuchali, popatrzyli i odchodzili z admiracją, ale bez haczyka od wędki w sercu. Patrzyli się na Lucynę, jak wilki na gwiazdę. Żaden nie ugiął przed nią po rycersku kolana...

— Za moich czasów było inaczéj... mawiała pani Julja. A może téż ja byłam szczęśliwszą...

Odnosiło się to do wspomnienia, o którém w poprzednim pisałem rozdziale. Pani Julja marzyła dla Lucyny o jakimś Stasiu i szukała go pomiędzy ulubieńcami fortuny, synami bankierów, wysokich urzędników i właścicieli dóbr

ziemskich. Ostatni najbardziéj przypadali jéj do gustu. Ideałem wszakże jéj był miljonowy wdowiec, ojciec trojga dzieci i liczący przeszło pięćdziesiąt lat.

— Moja mamo!... co też mama mówi!... wołała zawsze Lucyna, ile razy rozmowa pomiędzy nią a macochą na ten spadała przedmiot.

— Moje dziecko... odpowiadała zawsze sentencjonalnie pani Julja. Mnie przedewszystkiem o twoje szczęście chodzi... A niestety! na ziemi szczęście chodzi w parze z pieniędzmi...

— Niechby sobie ten mój przyszły małżonek miał pieniądze!... Nie jestem przeciwko temu... Niechby tylko nie był wdowcem, nie miał dzieci i nie był takim starym...

— Cóż to szkodzi?...

— To, że wątpię, czy człowieka opatrzonego w te warunki, potrafiłabym pokochać...

— Jakież z ciebie dziecko!... Pokochanie w naszym wieku wyszło już z mody, a miejsce jego zastąpił rozsądek... Owóż, do rozsądku się odwołując, powiadam ci, że miljonowy wdowiec, mający dzieci i pięćdziesiąt lat, byłby najlepszą dla ciebie partją...

— Ależ, na miłość Pana Boga! do czegóż te dzieci i te pięćdziesiąt lat!...

— Człowiek stary, rodziną obarczony, łatwiejszym jest do powodowania...

— A papa?

— To był szczególny zbieg okoliczności...

— Zdaję mi się jednakże, że przyjemniéj jest młodego mieć męża...

— Zapewne, pod warunkiem jeżeli przyjemność połączyć się da ze szczęściem... Sama przyjemność, to upajający napój, mający własność odurzania na chwilę...

— Jakże mama zimno zapatruje się na te rzeczy!... Mnie się zdaje, że Pan Bóg człowiekowi dał serce na jakiś przecie użytek...

— Na kochanie... zapewne, ale... siebie...

— Ach! mamo!... przerwała Lucyna prawie z przerażeniem.

— Nie przerażaj się... To wypływa z natury rzeczy. Każdy człowiek kocha przedewszystkiem siebie. W połączeniu z innemi ludźmi, na rzecz tych ostatnich ustępować musi część miłości własnéj. Tego wymaga porządek. Rozumu zadaniem jest, tak się kierować, ażeby, z miłości siebie samego, na rzecz innych jak najmniéj ustąpić...

— Musi to być tak, jak mama mówi — konkludowała panna Lucyna. Ale ja tego zrozumieć nie mogę. Mnie się zdaje, że ja papę i mamę lepiéj kocham niż siebie... że...

— Tak się tobie tylko zdaje... przerywała pani Julja. Jeszcześ zbyt młoda.

W ten sposób kończyły się rozmowy, któremi macocha pasierbicę do życia przysposabiała. Nie było w nich ciepła, to też nie trafiały one do przekonania młodéj dziewczyny. Lucyna wierzyła macosze, lecz nie ślepo, nie brała wiary do serca. Pani Julja jednakże nie zrażała się tem. I owszem: uważając serce jako przynętę, przydatną w pewnych razach, nie miała nic przeciwko temu, że Lucyna nie zdradzała braku serca.

— Gdy miała lat siedmnaście, to i ja byłam bardzo uczuciową i nadzwyczajnie poetyczną... mawiała.

Była więc o pasierbicę spokojną i jeżeli ją co niepokoiło, to tylko to, że Lucyna nie miała konkurentów. Bo jako konkurentów nie można było uważać tych, co się do niéj przysiadali, co prawili jéj komplementa, co pożerali ją oczami, co ścigali ją na ulicach i spacerach.

— Kochają się w tobie... mówiła do córki z uśmiechem, a uśmiech ten był drwiącym.

I Lucyna drwiła z téj miłości, na co dowody składała w „Ćwiczeniach.“ W jéj album na wielu szkicach figurował podpis „kochanek.“ Były to same zwierzęta, których fizjognomjom nadać umiała ludzki wyraz, tak schwycony, że każdy ze szkiców był jak najpodobniejszym portretem. Znajdowało się tam, naprzykład: kilka osłów, z nadpisem „Galerja złotéj młodzieży“.

Od jednego oka ruchu, można było w nich poznać lwów towarzystwa, zdobiących swojemi osobami co wykwintniejsze salony. Tak byli podobni, że — jak to mówią — tylko mowy im brakło— mowy — jakiéj? To zapytanie mimowolnie przychodziło na myśl, patrząc na te postacie, tryskające życiem i prawdą. Prawdą bowiem było, że to były osły; prawdą również było, że owe osły były wiernymi wizerunkami ludzi, używających wziętości. Więc się czekało, jak przemówią: czy językiem oślim, udającym ludzki? czy ludzkim, udającym ośli? Były tam wilki, woły, barany, psy, koty, małpy, papugi, gęsi, słowem cała menażerja, w któréj każde zwierze mogło się zapytać:

— Czy ja jestem wizerunkiem człowieka? czy człowiek jest wizerunkiem moim?

Były tam postacie z salonu i z ulicy. Materjał wszakże salonowy o wiele obfitszéj niż uliczny dostarczał jéj treści. Z ulicy brała tylko typy gapiów i to te tylko, które jéj w drogę wchodziły, co trafiało się rzadko, pan Stanisław bowiem trzymał powóz i konie i nie pozwalał, ażeby żona jego i córka często deptały bruk. Nie miała więc sposobności bliżkiéj z ulicznymi typami zabrać znajomości. Zaledwie kilka zdobiło jéj album — kilku fanfaronów, których zawistny los konsygnował w kawiarnianéj atmosferze.

Pomiędzy tymi typami brakło jéj jednego, z którym sobie rady dać nie mogła. Spotykała go częściéj niż inne, studjowała i nie była w stanie schwycić ołówkiem, pomimo, że miał fizjognomię odznaczającą się wyrazistością, podniesioną jeszcze sposobem, w jaki się nosił. Wyraźnie udawał Rafaela i był do niego podobny, ale tylko z włosów, długich, nad czołem rozdwojonych i w tył głowy za—chciałbym powiedzieć—czesanych, gdyby prawda nie kazała podejrzywać, że grzebień był rzadkim na jego głowie gościem. Te włosy zdradzały artystę. Odsłaniały one czoło wyniosłe i kształtnie zbudowane i jasno błękitne oczy, duże i pełne wyrazu. Czoło i oczy stanowiły piękność jego twarzy i kontrastowały z przydługim nieco a spiczastym nosem, z wązkiemi ustami i zapadłemi policzkami, okrytymi rzadkim i niedbale zapuszczonym zarostem, kłębiącym się niby obłok na szczękach, brodzie i wargach. Włosy i zarost miały kolor blond wpadający w popielaty. Zresztą, co w nim jeszcze uderzało, to pewna dysharmonja pomiędzy wzrostem, a budową ciała. Był słuszny i w ramionach szeroki, a przytem szczupły, delikatny i wątły. Surdut na nim wisiał jak na wystawie krawieckiéj. Cerę miał bladą i jakby schorowaną.

Owóż, tego to jegomościa nie mogła Lucyna skarykaturować, pomimo, że z pozoru wyglądał, jak karykatura chodząca. Nie sposób było dobrać dla niego właściwą zwierzęcą fizjognomję. Czworonożne nie nadawały się, ptaki jeszcze mniéj, płazy w żaden sposób. Lucyna go studjowała i wystudjować nie mogła. Dośledziła, że bywa o jednéj i téj saméj porze w kawiarni N. Dowiedziała się, że można go spotkać na odludnéj ulicy X. Wychodziła na jego spotkanie, uważnie mu się przypatrywała, oglądała go ze wszystkich stron, co jéj z tem większą przychodziło łatwością,, że wbrew zwyczajom ulicznych gapiów, okazywał on dla niéj całe płci pięknéj należne uszanowanie. Tylko się jéj pilnie i z jakimciś dziwnym w oczach przypatrywał wyrazem.

Raz w biały dzień, na zakręcie ulicy spotkali się ze sobą niespodzianie — jak Francuzi powiadają *bec à bec*. Lucyna mimowolnie drgnęła i wstrzymała się. On padł na kolana, wyciągnął do niéj ramiona i zawołał:

— Kocham ciebie!...

Cała ta scena zajęła jedno mgnienie źrenicy. Lucyna się zmieszała i kroku przyspieszyła. On znikł za węgłem.

Ta scena ten miała skutek, że to, co dla naszéj karykaturzystki było dotychczas trudném,

po tym wypadku stało się niepodobnem. Napróżno siadywała z ołówkiem całemi godzinami. Ołówek stał się jéj nieposłusznym. Z pod jéj ręki wychodziło wcale nie to co miała w myśli. Linje łamane zaokrąglały się sentymentalnie, rysy ostre delikatniały i łagodniały. Z królestwa zwierząt i ptaków majaczyły się w jéj wyobraźni lwy i orły. Po długich daremnych próbach rzuciła na papier szkic orła unoszącego w niebo Ganimeda. Nie była to karykatura. Był to — ot, tak sobie — szkic, od niechcenia. Orzeł był wspaniały, szeroki w ramionach, lecz szczupły w sobie i lekki, jakby uosobiał natchnienie, strzelające z jego oczów w górę wzniesionych i w słońce patrzących. Ganimed — dziwna rzecz! — miał wiele podobieństwa do panny Lucyny.

— Cóż to ma wyobrażać ta karykatura?...— zapytał ją pan Stanisław, przypuszczając, że się w tem ukrywa jakaś złośliwa myśl.

Lucyna za całą odpowiedź zarzuciła z przymileniem ramiona na szyję i pocałowała go... w usta.

III.

Z nieopisaném zdziwieniem przyjęła Lucyna wiadomość o balu.

— Cóż to znaczy!... na jakąż to intencję?...

Pan Stanisław pocałował ją w czoło i odpowiedział:

— Na twoją...

— O mój papo! jakiż papa dobry!... Złożyła szybko na twarzy ojca gorący pocałunek i pod brodę go z przymileniem pogłaskała. Zapewne to w troskliwości o moje ćwiczenia...

— Czas przestać już dziecinnić się, Lucyno... podchwyciła pani Julja, przerywając. Trzeba ażebyś serjo pomyślała o sobie...

— Och! ja myślę tak serjo... przerwała Lucyna tonem żartu.

— Nie żartuj — odparła macocha. Myślenie o własnym losie nie jest przedmiotem do żartowania. Powinnaś się postarać rozstrzygnąć swój los na dzisiejszym balu.

Wymówiła te wyrazy tak serjo i z takim przyciskiem, że Lucynie odpadła do żartowania ochota. Odezwała się ze smutkiem w głosie:

— Czyż do tego już przyszło, że mam się sama o los mój troszczyć?... To dla mnie niespodzianka... Mnie tak dobrze z papą i mamą...

Panu Stanisławowi łzy w oczach się zakręciły. Odwrócił się, połknął łzy, potem znów się odwrócił i rzekł.

— Co tam o tém mówić! Zajmijcie się lepiéj toaletą i przysposobieniem przyjęcia dla gości, których będzie dużo... z rozmaitych sfer towarzystwa, i finansiści i urzędnicy i właściciele ziemscy, i literaci i artyści...

— Cieszę się, że papa nie zapomniał o literatach i artystach... wtrąciła Lucyna.

Pani Julja ramionami pogardliwie rzuciła:

— Tobie zawsze dziecińswa w głowie... Twój ołówek mąci tobie zdrowie sądu... Towarzystwo nie stoi na literatach i artystach. Oni w niém grają rolę okrasy po wierzchu, niby pianki pływającéj.

Ostatnich wyrazów pan Stanisław nie słyszał. Wziął ze stołu koszyk, w którym składały się karty wizytowe i wyszedł do pokoju, który nosił nazwę bióra i tam zasiadłszy przed biórkiem z palisandru, począł układać listę zaprosin. Karty wizytowe służyły mu do orjentowania się. Czytał sobie głośno nazwiska i zapisywał je na osobnym arkuszu. Niektóre mu były całkiem nieznane. On na to nie uważał. Szybko i bez namysłu na litografowanych blankietach „Pan Stanisław Ciołecki i pani Julja Ciołecka mają zaszczyt prosić“ dopisywał „Pana“ lub „Panią

na wieczór tańcujący", — dodawał datę, adresował i pieczętował. Przygotowawszy sześćdziesiąt takich zaprosin i poprzyklejawszy na każdéj z osobna kopercie marki pocztowe, zadzwonił na lokaja i kazał mu cały ten plik odnieść na pocztę miejską.

Między dwunastą, a pierwszą z południa każde zaprosiny doszły na miejsce swego przeznaczenia i na rozmaitych ludziach rozmaity wywarły effekt. Były one niespodzianką dla wszystkich jednakową, lecz nie jednakowo przyjętą.

— Co u licha!... zawołał pan Oswald Armulph, wygodnie utopiony w fotelu ze złotemi frendzlami, dla odczytania listu od pana Stanisława, przerwawszy sobie odczytywanie i podpisywanie licznéj korrespondencji, odnoszącéj się do interesów banku, na którego czele stał. Zadzwonił. Służącemu, który natychmiast się zjawił, kazał poprosić pana Jagniewicza.

Pan Witalis Jagniewicz był żerantem banku.

— Jak stoi Ciołecki?... — zapytał tego ostatniego.

— Ekzekucja na jutro, opieczętowanie i następnie sprzedaż z publicznego targu wszelkiéj ruchomości i nieruchomości na rzecz wierzycieli...

— Dostałem zaprosiny na wieczór...

— I ja dostałem...

Pan Armulph kiwnął głową na znak, że nie ma już nic więcéj do mówienia i powrócił do odczytywania korrespondencyj; pan Jagniewicz oddalił się. Obydwaj byli to panowie poważni. Pierwszy małego wzrostu, dość otyły, pulchny, rysów twarzy wydatnych wschodnie zdradzających pochodzenie. Drugi słuszny, dobrze odżywiony, starannie wygolony, z miny na męża stanu patrzący. Jeden i drugi byli nie żonaci. Pan Armulph miał żonę, ale umarła, zostawiwszy mu do obtarcia łez miljony i dwoje dzieci; pan Jagniewicz nigdy jeszcze nie kosztował słodyczy małżeńskiego pożycia. Obydwa liczyli wieku lat około czterdziestu pięciu.

Szeroko otworzyła oczy pani Ewelina Prawecka, gdy mąż, nic nie mówiąc, podał jéj do przeczytania zaprosiny państwa Ciołeckich.

— Co to znaczy?...

— Bal...

— Oczom własnym nie chce mi się wierzyć...

— I ja ledwo moim wierzę... Ale, czarno na białem...

— Cóż myślą sobie ci ludzie?...

— Bawić się do upadłego... Upadek jutro, więc dziś bal...

— Chyba jakaś nieznana światu otworzyła się dla nich resursa...

Pan Prawecki, adwokat, który znał na wylot interesa pana Stanisława, ramionami ścisnął.

Panie i panny powszechnie się dziwiły. Dziwiły się i gniewały: wieczór bowiem na którym wystąpić miała panna Lucyna, z góry dla téj ostatniéj i dla niéj jednéj tryumf zapewniał — tryumf, ale ostatni, a zatem ciekawy. Jutro Lucyna będzie gwiazdą upadłą; strąconą z wysokości towarzyskiéj nie przez występek, ale jeszcze gorzéj, niż przez występek... Występek, jeżeli on strąca w kałużę, w któréj piękność klapie się w wybitéj aksamitem, zaprzężonéj dzielnymi końmi i illustrowanéj pyszną liberją karecie, strąca tylko przez pół. Dla gwiazdy pozostaje gwiazdzistość, inna wprawdzie, zawsze jednakże olśniewająca. Upada się zupełnie przez ubóstwo, promienie nikną, blask ciemnieje, znajomi się odwracają, ludzie przez ramię patrzą. Nikomu nie życzę z wysokiéj sfery wpaść w ubóstwo...

Temu przypadkowi uledz miała Lucyna. Miała zostać ubogą — i była już nią, ale jeszcze nie faktycznie. Ten stan przejściowy budził wielką ciekawość, osłoniętą politowaniem.

— Biedaczka... mówiły głośno panie i panny, rade, że je zaćmi po raz ostatni.

I czuły gwałtowne pragnienie przypatrzenia się po raz ostatni téj, która już więcéj ćmić nie będzie. Pragnienie to było rodzonym bratem

tego, które pędzi tłumy na oglądanie wykonania wyroku śmierci.

To samo pragnienie działało także, jako podnieta i na płeć męzką.

— Staś daje bal... rzekł pan Adolf, młody, wykrojony z żurnalu mód elegant, do kilku podobnych sobie, zgromadzonych na ostrygi w najpierwszéj traktjerni.

— Dostałem zaproszenie... odrzekł pan Rudolf.

— I ja dostałem... rzucili chórem panowie Leon, Gustaw, Alfred i Adam.

— Na jakąż to pamiątkę?... zapytał jeden z nich.

— Zapewne na pamiątkę nieboszczki pierwszéj żony, która mu taki piękny do stracenia zostawiła majątek...

— Ten Staś poczciwy rozumnie się prowadził...

— Użył póty... zauważył Adaś, pokazując sobie palcem na gardle.

— I podobno wlazł póty... odrzucił Alfred, podnosząc dłoń na równi z uszami.

— Bo nie miał taktu w postępowaniu z wierzycielami... rzekł Rudolf, znany ze zdolności zaciągania długów.

— Czemużeś mu nie radził?... zapytał Alfred. Byłbyś obarczył sumienie jednym przynajmniéj dobrym uczynkiem...

— Ja się tam w dobre uczynki nie wdaję... odparł pogardliwie Rudolf.

— Jest to ckły na twoje podniebienie pokarm... Tobie potrzeba, jak Stanisławowi Augustowi, asafetydą talerze wycierać...

Młodzi ludzie śmieli się, łykając ostrygi i popijając białe wino.

— Wszelako dobry uczynek byłby się w tym razie opłacił... — rzekł milczący dotychczas Leon.

— W jakim względzie?... zapytanie.

— We względzie panny Lucyny, która jest królewskim kąskiem...

Młodzi ludzie cmoknęli, jak gastronomowie na wspomnienie smacznéj potrawy.

— Cóż z tego, kiedy brak rzeczy najessencjonalniejszéj... odezwał się Rudolf. My w dziewiętnastym wieku popsuliśmy sobie smak. Piękność nie w złotych, i do tego nie w szczerozłotych ramach, nie jest pięknością...

— Widać, Rudeczku kochany, żeś się nie zagłębiał w polityczną ekonomję, odparł mu Adolf, która uczy, że kredyt więcéj wart, niż złoto...

— A sam to praktykujesz... dorzucił Alfred, i tak dobrze na tém wychodzisz...

— Dzięki taktowi w postępowaniu z wierzycielami... dodał Adam.

Wzięty na fundusz Rudolf zaczął bronić swoje — jak je nazywał — pryncypia, co wywołało żywą i wesołą dyskussję, tem weselszą, że podlewaną białém winem. Dowcipy, często płaskie, sypały się jak z rękawa; od czasu do czasu brzmiały śmiechy; wyraz „pryncypia“ co chwila dawał się słyszeć. Wesoła młodzież, z powodu Rudolfa wzięła i wyraz na fundusz i drwiła z pryncypiów.

Przy stoliku obok siedział jakiś jegomość, jadł boeufstek, przysłuchiwał się wesołéj dyskussji i to czoło marszczył, to usta uśmiechem rozciągał. Zjadł, zapłacił i wstał. Lecz zamiast wyjść z salonu traktjerni, zbliżył się do stolika, przy którym siedzieli Alfredy i Rudolfy, i wyciągając nad nimi rękę, z następującemi w dyskussję wpadł wyrazami:

— „Pryncypia! O pryncypia! jakbym chętnie
Powiedział prosto dziś co o was myślę!
Gdyby mi teraz w serca mego tętnie.
Nie brzmiała inna struna.“

Wydeklamował te wiersze czystym, dźwięcznym głosem, — czysto, dźwięcznie i z głębokiém uczuciem. W trzecim wierszu dłoń prawéj ręki przycisnął do piersi. Pokiwał smutnie głową, rzucił poważnie wymówiony wyraz „o! osły“ i wyszedł.

Ten wypadek zmieszał nieco przyjaciół — zmieszał, ale nie bardzo. Zamilkli na chwilę i spojrzeli po sobie. Milczenie przerwał Adolf:

— A to napaść na publicznéj drodze!... Co to za figura?...

— Jedna z tych co ubóstwo kieszeni wynadgradzają bogactwem myśli, a bogactwo myśli zakładają na umieniu na pamięć mnóstwa głupich wierszydeł, jak naprzykład te oto, które do nas ten jegomość wypalił...

— Na umieniu albo na fabrykowaniu, poprawił Rudolf. Założyłbym się, że te o pryncypiach były własnego tego jegomościa wyrobu. Skomponował i pilno mu było pochwalić się...

— Niezawodnie — potwierdzil Alfred, bo nawet wszystkich rymów nie dobrał: chętnie—tętnie,... myślę—osły... o! ośle...

Przyjaciele w śmiech.

— Coś mu tam jednakże kręciło się po głowie... odezwał słę Adolf. Chciał nam zaimponować... Czyście uważali, z jaką zuchwałą miną stanął przed nami i rękę wyciągnął?...

— A jak po tem zmiatał!... dodał Adam. Wyraźnie poeta lękał się, ażeby mu który z nas czoła, zamiast liściem wawrzynu, guzem od butelki nie uwieńczył...

Ten koncept przywrócił wesołość, którą wyraz „osły” był wystraszył.

Tymczasem do stołu zbliżył się jakiś wysoki, suchy, z zaniedbaniem, ale zaniedbaniem wielkopańskiem, ubrany jegomość, z pełnym kieliszkiem w jedném, z biszkoptem i kapeluszem w drugiem ręku. Zbliżył się i tonem wielkiego ugrzecznienia przemówił:

— Panowie, pozwolicie mi na rogu waszego stołu postawić kieliszek, a pod stołem kapelusz?...

— I owszem... odrzekł Adolf, odsuwając się trochę z krzesłem.

— Niech pan sobie najmniejszéj nie robi subjekcji... pospiesznie podchwycił jegomość. Ja usiądę zdaleka... Oto tu... i postawił sobie krzesło naprzeciwko rogu stołu — bylebym tylko miał gdzie postawić kieliszek z maderą... Lubię pić małemi łykami... Nie będę panom przeszkadzał. Jestem człek spokojny. Nie jestem ani trochę gadułą. Jestem sobie rymarz...

Młodzi ludzie z podziwem spojrzeli najprzód na jegomościa, który bynajmniéj na rzemieślnika nie wyglądał, następnie po sobie. Adaś, rad że mu się tylko co koncept udał, zapytał:

— A jaki? czy ten co chomonty szyje, czy ten co rymy dobiera?...

— Ani ten, ani ów... odpowiedział jegomość z zimną krwią, popijając maderę i zagryzając biszkoptem. — Ale ten, co osły w chomonty ubiera...

I nie dając żadnemu z młodych ludzi, trochę zaanonsowaniem jego szczególnego rzemiosła zdziwionych, przyjść do słowa, pomimo że tak powoli mówił, iż zdało się, jakby cedził wyrazy, ciągnął daléj:

— Ale, panowie, nie lękajcie się mnie... Nie mam względem was żadnych niegodziwych zamiarów...

— Któż by się tam pana lękał... odezwał się Rudolf trochę opryskliwie.

Jegomość się uśmiechnął i nic nie mówiąc zdjął z palca sygnet i podał go najbliżéj siedzącemu Adolfowi. Na sygnecie był herb, a nad herbem książęca mitra. Gdy Adolf, spojrzawszy na te insygnja, chciał sygnet oddać właścicielowi, ten poprosił go, aby podał daléj. Pierścień z rąk do rąk obszedł w koło i powrócił do mniemanego rymarza.

— Wiecie panowie, czyj to herb?... zapytał ten ostatni.

Książęca mitra dała młodym przyjaciołom, do poznania, że ten, co się jako rymarz przedstawił, był księciem; lecz herb nic im nie powiedział, heraldyka bowiem, jak zresztą wszystko co nauką trąciło, była im obcą. Z grzecznem przeto uszanowaniem odpowiedzieli, że nie wiedzą.

— Nie koniecznie to potrzebna wiadomość... rzekł jegomość z uśmiechem. Dawniéj wielką

do tego przywiązywano wagę. Dziś, zamiast heraldyki, szlachcice chętniej studjują podział pracy... Ta materja musi być panom na wylot znajoma?...

Ostatnie wyrazy brzmiały tonem zapytania. Jegomość popił madery, ugryzł biszkopta i czekał przez chwilkę na odpowiedź. Lecz odpowiedzi nie było. Uśmiechnął się więc końcem ust i wręcz zapytał:

— Zapewne wiecie panowie, kto jest twórcą następujących wierszy:

— „Pryncypia! O pryncypia? jakbym chętnie
Powiedział prosto dziś co o was myślę!..."

Niepodobna bowiem, ażebyście nie znali narodowych poetów... Niepodobna, ażebyście czegoś nie umieli...

— Garson! rachunek!... zawołał głośno Rudolf.

Jegomość wychylił resztę madery, wziął kapelusz, ukłonił się młodym ludziom i wyszedł.

IV.

Zaznajomić należy czytelnika jeszcze z jedną osobistością, która otrzymała zaprosiny pana Stanisława. Lecz, ażeby z nią zabrać znajomość

potrzeba iść wysoko, aż na czwarte piętro, po schodach nie odznaczających się, ani mocą budowy, ani zbytkiem czystości. Zbutwiała i ruszająca się deska nie była w nich rzadkością, jak również nie była rzadkością rzucona od niechcenia kość, istna kość niezgody, o którą hałaśliwie kłóciły się psy, lub struga imitująca wodospad, sprawiający kręcenie w nosie. Lokatorowie, których była mnogość ogromna, uskarżali się z tego powodu na stróża, stróż uskarżał się na lokatorów. Kto miał rację, trudno powiedzieć. To tylko pewna, że dostanie się na czwarte piętro, było przeprawą nie lada, wymagającą nie tylko wielkiéj zręczności i przytomności umysłu, ale jeszcze najdokładniejszéj znajomości różnych tajemnic i niespodzianek. Naprzykład: konstrukcja schodów była tak dowcipną, że w trzech miejscach w absolutnéj nagle, chowała schody ciemności, W biały dzień trzeba było świecy, ażeby przejść nie powalawszy się, nie potknąwszy. Cóż dopiero w nocy. Lecz oświecanie schodów nie było we zwyczaju, przyjętym przez kamieniczną jurysdykcję. Z tego powodu, dla obcego niewtajemniczonego, wędrówka po tych schodach była przedsięwzięciem nader niebezpiecznem. Wprawdzie stróż, albo żona jego, pani Pawłowa, mieli zwyczaj ostrzegać:

— A strzeżcie się tam, ażebyście karku nie skręcili, albo stęporów nie powykręcali...

Ale to nic nie pomagało.

Zazwyczaj obcy nawracał od pierwszéj przeszkody i szukał przewodnika, o którego nie było nader trudno. Kamienica roiła się dziećmi, a te z ochotą podejmowały się przewodniczenia, w nadziei parugroszowéj za trudy indemizacji.

Ze schodów rozchodziły się korytarze, a z kurytarzy galerje. Te ostatnie były arcydziełem w swoim rodzaju, coś w guście djablego mostu. Wisiały w powietrzu bez podpór i chwiały się pod najlżejszém stąpaniem, grożąc oderwaniem się. Pomimo to, wypadku nie było.

Z kurytarzy i galeryj wchodziło się do apartamentów, których rozkład do nieskończoności był rozmaitym. Kształt pokojów przedstawiał kształt różnych figur jeometrycznych, podłóżnych, ukośnych i regularnych czworoboków, sześciokątów, pięciokątów, trapezów i trójkątów, w niektórych brakło okien, w innych okna pełniły funkcję drzwi, jedne były bez pieców, inne miały po dwa i trzy piece, w jednych kuchnia poprzedzała salon, w innych salon kuchnię, a jeszcze w innych kuchnia i pokój sypialny w jednéj znajdowały się izbie.

W téj to kamienicy, po przebyciu wszelkich niebezpieczeństw, na czwartém piętrze wychodzi-

ło się na wiszącą nad podwórzem galerję, a z galerji do sieni. W sieni otwierało się troje drzwi: jedne wprost bez żadnego godła i napisu, drugie na lewo z wysztychowanym na kartonie napisem *Floh-Akademie*, pod którym drobniejszemi nieco literami było i polskie tłomaczenie *Akademja dla pchłów* (w ostatnim wyrazie litery „*łów* były przemazane i na wierzchu dopisane *i*, *e*, *ł*, co pierwotne „pchłów" przemieniało na „pchieł"); trzeci na prawo z przybitą kartą wizytową „Prosper Grzęda."

Kto był ten Prosper Grzęda, do którego tak trudno się dostać i który tak pojedyńczo się anonsował?

Otworzenie jego drzwi, od razu go dawało poznać. Najprzód w nos uderzała mocna woń oleju, następnie wzrok uderzał wielki nieporządek, a wśród tego nieporządku rozstawione sztalugi z ponaciąganemi płótnami, rozwieszone na ścianach obrazy, pełno stołów i stołków różnéj wysokości, na stołach pełno sztychów i pokrytych farbami kamieni, farby olejne w pęcherzykach i flaszeczkach, paletry, pendzle, sejsfedry, zwitki papierów, książki szkielety, różne wielkością i kształtem gipsowe medale. Któż po tym opisie nie pozna pracowni malarza?

Nie myślę twierdzić, że nie ma malarzy czystych i porządnych. Zdarzają się — chociaż

rzadko. Pan Prosper do tych rzadkości nie należał. W pracowni swojéj, służącéj mu oraz jako mieszkanie, utrzymywał nieporządek, o którym słabe tylko możemy dać wyobrażenie, mówiąc, że zamiatanie i ścieranie w niéj prochów było w niéj czynnością nieznaną. Kurz warstwą pokrywał podłogę, na któréj wydeptane ścieżki świadczyły o kierunku przechodów mieszkańca. Ścieżki te były szersze i węższe i nie jednakowo dwie połowy izby zapełniające. Trzeba bowiem wiedzieć, że była to izba bardzo obszerna, nie szeroka, ale długa i długością swoją od oświecających ją dwóch okien w głąb uciekającą. Z tego powodu rozpadała się na dwie połowy, z których jedna opierała się o okna, druga o przeciwległą im ścianę. Pierwsza była jamą, druga tonęła w półcieniu. Przy oknach też skoncentrowało się wszystko, co pracownię malarską stanowi; w drugiéj połowie stało tylko łóżko zawsze rozrzucone, obok stołek z lichtarzem, zapałkami i kilku książkami, daléj pod ścianą inny stołek z dużą misą pełniącą obowiązki miednicy, jeszcze daléj waliza podróżna bez zamka i oto wszystko. W pierwszéj połowie ścieżki wiły się w zygzaki i kółka, w drugiéj szły w prostéj linji do łóżka, do miednicy i do drzwi. Jako szczególność, uwydatniająca zamiłowanie w porządku właściciela pracowni, po-

wiedzieć winienem, że woda w miednicy odnawianą bywała raz na miesiąc. Z tego nie wynika, że się pan Prosper tylko raz na miesiąc umywał. Owszem, umywał się on codziennie, ale w jednéj i téj saméj wodzie, któréj rozbiór chemiczny dałby ciekawe rezultaty — tyle w niéj łączyło się pierwiastków, wydzielonych z kurzu, olejnych farb i mydła. To też o panu Prosperze mawiała pani Pawłowa:

— Dobry pan, choć do rany przyłóż, bardzo dobry, tylko, z przeproszeniem świnia...

Pani Pawłowa miała rację, gdy tak mówiła. Ona bowiem utrzymywała porządek w apartamentach, których lokatorowie nie mieli czasu, lub ochoty zamiatać i sprzątać. Stanowiło to jéj dochód, znakomity do pensji męża przyczynek. Lokatorów potrzebujących jéj usług, to jest, płacących jéj, szczególnemi zaszczycała względami. Pan Prosper płacił, ale za to, aby się od jéj usług uwolnić. Był więc w jéj mniemaniu „dobry, ale" — jak wyżéj.

Zaznajomiwszy czytelnika z pracownią malarza z kolei zaznajomić go wypada z malarzem. Do tego wyborna nastręcza się mi sposobność. W tym samym dniu i o téj saméj godzinie, w któréj powieść niniejsza się rozpoczęła, przed kamienicą stanął ten sam jegomość, który złotéj młodzieży, jako rymarz się rekomendował. Sta-

nął, spojrzał na numer i wszedł do środka. Wszedłszy, zapytał pierwszego spotkanego:

— Na którem piętrze mieszka pan Prosper Grzęda, malarz?...

— Chętnie bym panu powiedział, gdybym wiedział—była odpowiedź.

Zapytał drugiego, trzeciego i nie więcéj jak od pierwszego się dowiedział. Pobróbował poszukać bez pytania, ruszył do góry po schodach i od pierwszego ciemnego przejścia musiał nawrócić. Niezrażony jednakże, począł się dopytywać o malarza w ogólności. Lecz i to nie zdało się na nic. Malarza nikt nie znał.

— Przecież to jego adres... Od trzech lat pod tym adresem z nim koresponduję...

Począł więc dopytywać się o stróża i nie bez trudu odszukał panią Pawłowę.

— Czy w téj kamienicy mieszka malarz?

— Malarz? jaki malarz?... była odpowiedź, która wszakże nie była stanowczą, gdyż pani Pawłowa natychmiast przypomniała sobie:

— Wszak sprawiedliwie pan mówi... Mieszka... mieszka...

— Prosper Grzęda?...

— Licho go wie, jak mu tam... Malarz i tyle...

— Na którém piętrze?...

— Wszak na czwartém, galerja na lewo, drzwi z sieni na prawo...

Nieznajomy podziękował i ruszył na schody. Pani Pawłowa posłała za nim przestrogę:

— A niech jegomość ostrożnie będzie na schodach, bo tam można kark skręcić lub nogę złamać...

Nieznajomy jeszcze raz podziękował, chrząknął i, pomagając sobie laską, począł się powoli wznosić coraz to wyżéj i wyżéj. Doszedł do pierwszego ciemnego przejścia, przekroczył kilka stopni i nawrócił.

— A toż tu bez przewodnika ani rusz... mruknął sobie pod nosem.

Zaledwie te wyrazy wymówił, jakby z pod ziemi zaklęciem wywołany zjawił się obok niego ośmioletni chłopak obdarty i obwalany.

— Jegomość chce na piętro?... zapytał.

— Aż na czwarte, moje dziecko...

— Jegomość nie chce nogi złamać?...

— To się rozumie...

— Niech-że jegomość da mi trzy grosze, ja poprowadzę...

— Najchętniéj...

Sięgnął do kieszeni i zapłacił z góry. To zdziwiło trochę chłopaka. Lecz zdziwienia nie okazał.

— Dobrze, więc chodźmy... Ja przodem, jegomość za mną... Za powrót drugie trzy grosze... To się wie, bez gadania...

— A gdybym zechciał zejść bez twojéj pomocy?... zapytał nieznajomy.

— Wolno jegomości... odparł chłopak. Przecież mnie się zdaje, że lepiéj odżałować trzy grosze, niż potem żałować za nogą lub za głową...

I poszedł przodem. Nieznajomy postępując za nim powoli i pomimo nawoływań małego przewodnika „na prawo! na lewo! tu trzeba dwa schody przestąpić?” próbując przed sobą laską, mówił sobie pod nosem:

— O wieku dziewiętnasty! wieku spekulacji! w krew pauprów szczepiący żądzę korzystania z czasu i okoliczności... Co ty po sobie zostawisz?... Czy będzie z ciebie duch miał pożytek?... Czy ty go nie przytłoczysz ciężarem materji?...

— Niech-no jegomość tam uważa!... wołał chłopak. Gdy ja prowadzę, to można pacierz na późniéj odłożyć...

Nieznajomy głową pokiwał i szedł daléj w milczeniu.

Na czwartém piętrze wyszedł na galerję. Spojrzał w dół. Pod nogami miał przepaść, a nad przepaścią chwiejny pomost. Po pomoście przeszedł szybko i w sieni się zatrzymał. Przeczy-

tał napis na lewo — uśmiechnął się, przeczytał na prawo i nie pukając po cichu drzwi otworzył. Spojrzał do środka. Przed sztalugą, wpół odwrócony do drzwi plecami, na niskim stołeczku siedział młody człowiek z paletrą w jednym, z pędzlem w drugiem ręku. Nieznajomy zbliżył się na palcach. Młody człowiek szybko wodził pendzlem — powiedzieć można, nie malował, ale smarował po blasze. Z pod pendzla jego wyrastały pierniki, obwarzanki i różne ciastka, układając się w rodzaj wianka około liter jakiegoś napisu. Nieznajomy przez chwilę patrzał i milczał.

— Więc ty szyldy malujesz... rzekł tonem żalu.

Malarz obejrzał się, skoczył i jednym susem rzucił się na szyję nieznajomemu z okrzykiem:

— Książe! kochany książe!...

Uścisnęli się długo, serdecznie: Tak się ściskają tylko przyjaciele.

Książe — nieznajomy bowiem był rzeczywiście księciem i do tego bardzo bogatym — po uściskach pierwszy przemówił.

— Do kamienicy w której mieszkasz, od razu trafiłem, ale w kamienicy odszukanie ciebie zaliczam do czynów niezwyczajnych... Zkąd ci przyszło na myśl ulokować się jak orzeł na góry szczycie?...

— Bardzo mi tak wygodnie...

— Przecież potrzeba, ażeby ludzie widzieli cię trochę bardziéj zblizka, ażeby ten i ów mógł zajrzeć do twojéj pracowni.

— I mógł mi przeszkadzać... dokończył malarz.

— Ocenić twoją pracę i twój talent... poprawił książe.

— Och!... podchwycił malarz. Nie chcę się ludziom narzucać i z mego talentu wystawę robić... Jeżeli mam talent, to niech go poszukują...

— O, dumo!... zawołał książe.

— Nie do twarzy poddanemu waszéj książęcéj mości... dokończył malarz.

— Jeżli mi będziesz wypominał, żeś moim poddanym, to się na ciebie pogniewam... rzekł książe tonem smutnego, ale oraz rzewnego rozgniewania. Kiedym pierwszy twój węglem na ścianie namazany ujrzał rysunek, poznałem i uznałem żeś rodem wyższy niż ja, pomimo, że ty urodziłeś się w polu pod półkopkiem, a ja pod mitrą książęcą... I mam sobie za zaszczyt, że jestem twoim przyjacielem.

Malarz w milczeniu, ze łzą która mu na rzęsach zawisła, podał księciu dłoń.

— Cóż ty robisz?... szyldy?... zapytał ten ostatni po chwili.

Malarz nic nie mówiąc podniósł zasłonę, okrywającą rozpięty na sztaludze ogromnych rozmiarów karton, na którym grubymi rysami rzucony był węglem szkic.

Szkic ten przedstawiał człowieka w łachmanach podartéj odzieży, na dzielnym arabskiéj rasy koniu i mogiłę. Koń w całym pędzie, jakby przestrachem rażony, padał. Jeździec miał twarz ostrą, surową, ale boleśnie smutną. Nadmogilną atmosferę napełniały duchy, od których bił świat starożytnéj Grecji.

Był to szkic, pierwotny artysty pomysł, rzucony od niechcenia. Jednakże tyle w nim było wyrazu, tyle życia, tyle ruchu, że książe wpatrzył się w karton w niemem zachwyceniu. Wpatrzył się, i, jakby odgadując myśl obrazu, zapytał:

— Co to jest?

Malarz po niejakimciś przeciągu czasu wyciągnął prawe ramie i wydeklamował:

— „Na Termopilach? — Nie!...”

I urwał.

Gdy te wyrazy zabrzmiały, książe ze spotęgowanem przypatrywał się zajęciem.

— Czemuż nie kończysz?... zapytał po chwili.

Malarz ramionami ruszył.

— Niedawno snadź przyszedł ci ten pomysł...

— Przed trzema laty...

— No?...

— Nie mogę się zebrać... Lękam się, że moim pędzlem nie dosięgnę wysokości przedmiotu... Boję się, ażeby duch poety nie cisnął na moją głowę klątwy... A przytem — dodał, kiwając głową. — mam teraz przeszkodę... Zakochałem się...

Książe się uśmiechnął. Miał jakąś na języku odpowiedź, gdy nagle słyszeć się dało pukanie do drzwi.

— Kto tam?... zawołał malarz. Wejdź!...

We drzwiach, które się natychmiast otworzyły, ukazała się zasapana postać pani Pawłowéj z listem w ręku.

— Co mi pani tam dobrego przynosisz?... zapytał pan Prosper.

— Jakiś list bez pieniędzy, dobrze przynajmniéj, że opłacony.

Malarz otworzył kopertę, rzucił na list okiem i nagle twarz jego rozjaśniła się radością. Poskoczył do pani Pawłowéj i uścisnął ją. Księciu dał list do przeczytania. Sam zaś klaskał w palce, podskakiwał na jednéj nodze i chodził pomiędzy sztalugi i posągi i taki wzbił kurz, że się w pracowni zrobiło ciemno.

Pani Pawłowa rozkichała się i wyszła.

Książe, odczytawszy list, który był niczém innném, jeno zaprosinami na tańcujący wieczór pana Stanisława, rzekł z uśmiechem:

— Z tobą teraz, jak widzę, nie dogadać się...

Naznaczył na *rendez-vous* traktjernię, w której zgromadzała się złota młodzież na ostrygi, i poszedł za przykładem pani Pawłowej.

Prosper jeszcze przez jakiś czas chodził, w palce klaskał, podskakiwał i poszedł za przykładem księcia.

On to wypalił do złotej młodzieży apostrofę o pryncypiach.

V.

Wieczorem, gdy salony rzęsistem zajaśniały światłem, gdy liczna służba wystąpiła w bogatéj liberji a panie w pysznych ukazały się strojach, nikt, nie wiedząc o stanie interessów pana Stanisława, nie powiedziałby, że to bal u bankruta, że jutro ten uprzejmy gospodarz i te piękne panie, zdać się będą musiały na łaskę ludzkiego miłosierdzia...

Ale jutro było daleko. Co tam o niem myśleć?

Pan w czarnym fraku i białéj kamizelce z najlepszym w świecie tonem pełnił funkcję gospodarza. Witał gości i honory im robił.

Z zaproszonych prawie nikogo nie brakło. Płeć piękna stawiła się w komplecie. z płci męz-

kiéj rzadko kto nie przybył. Pozwoliłbym sobie zrobić przegląd całego towarzystwa, gdyby nie składało się ono w ogromnéj większości z osób, nie grających żadnéj w powieści niniejszéj roli — żadnéj, to jest, czynnéj, bo bierną wszystkie grały. Wszystkie miały oczy ku patrzeniu i uszy ku słyszeniu i języki ku udzielaniu sobie wzajemnie rozlicznych wiadomości i postrzeżeń. Języki wprawdzie zmieniały bierność w czynność, lecz mniejsza o to. Gdybym chciał powtórzyć wszystko, co się gadało, cóż za grube tomy musiałbym zapisać. Ograniczę się tylko na naszych znajomych.

Nasi znajomi, wyjąwszy księcia i pani Pawłowéj, stawili się wszyscy, co do jednego. Złote kółko ściągało się po jednemu i w miarę przybywania ściskało swoje szeregi, to jest, wyróżniało się w tłumie, który był trochę pstrym. Oni, co z rąk krawca i fryzjera wyszli niby Wenus z piany morskiéj, uważali za dobre i potrzebne trzymać się trochę opodal od tych, których fraki podejrzanego były pochodzenia. A było takich kilku. Naprzykład: literaci. Miny ich kwaskowate oznaczały, że literatura źle stoi. Były one niejako niemym wyrzutem dla złotych paniczów, do których, zdawało się przemawiały:

— Chudzi jesteśmy z waszego powodu. Czemu nie czytacie polskich książek?

Głupie zapytanie. Odpowiedź na nie bardzo łatwa.

— Na czytanie polskich książek nie przyszła jeszcze moda.

Potężna tą odpowiedzią złota młodzież odwracała się od literatów, a lgnęła do płci pięknéj, na którą moda jakoś się trzyma. Do płci pięknéj lgnęli także i literaci. Była ona łącznikiem, zacierającym różnice i pretensje. Około niéj grupowały się różne towarzyskie konstellacje, wyjąwszy tych, które wist i preferans w osobnych pokojach przy zielonych gromadziły stolikach.

Goście przybywali. Pan Stanisław każdego witał, każdemu jakieś słodkie umiał rzucić słówko, niektórych prowadził do żony. Ten zaszczyt spotkał pana Oswalda Armulpha i pana Witalisa Jagniewicza i jeszcze kilku.

Bankier był żywym obrazem najwyższego zadowolnienia z samego siebie — zadowolnienia, które szczególny wpływ wywierało na jego wzrost. Wzrostu był małego a wydawał się słusznym. Rósł w oczach, jak ciasto drożdżami zaprawione, a wyglądał jak pączek pulchno i rumiano. Uśmiechał się do każdéj i każdego i mówił samemi komplementami.

— Jakże mnie to czeszy — rzekł witając się z panią Julją, że mogie być uczesztnikiem takiego szwietnego balu...

— To nie bal, odparła gospodyni domu, to improwizowany wieczór, na który sprosiliśmy przyjaciół...

— Wielkim dla mnie jest zaszczyt, że mnie państwo do liczby szwoich przyjaciół zaliczacie.

Pani Julja z westchnieniem podziękowała.

— Muszę pani powinszować. Jak pani dziś pięknie wygląda...

— Pan zawsze taki szarmancki...

— To nie szarmanterja, ale hołd prawdzie, przed którą całe moje życie czołem biję... Skłamałbym więc samemu sobie, gdybym nie powiedział, że gust pani wzbudza podziwienie...

I tak daléj i tak daléj. Temu potokowi komplementów przerwało zaproszenie do wista.

— Z prawdziwym żalem odrywam się od towarzystwa pani.

Oderwał się i przeniósł swoją osobę za zielony stolik, za którym rozdzielił jeszcze kilka komplementów swoim partnerom i utonął w kombinacjach gry. Miejsce jego przy pani Julji zajął pan Jagniewicz, wygolony, wypomadowany, wyperfumowany, milczący i poważny. Ten także nie długo zabawił. Ustąpił miejsca komuś innemu, ten inny znów innemu i t. d.

W szeregu gości zjawiła się nagle dziwna osobistość — młody człowiek słusznego wzrostu, z długiemi w tył zaczesanemi włosami, we fraku

z przeszłego stulecia, w butach z kurzu ulicznego nie otrzepanych, w kamizelce w kwiaty, w spodniach białych i krawatce czarnéj. Rękawiczki niósł w ręku, nie na ręku. Wszedł i zbliżając się do pana Stenisława, zapytał:

— Czy pan dobrodziéj jesteś gospodarzem domu.

— Ja, panie: czem panu mam służyć?

— Przychodzę do pana na wieczór tańcujący.

— Pan?!... zapytał pan Stanisław ze zdumieniem. Nie mam zaszczytu znać pana...

— Nie wielki to zaszczyt, odpowiedział przybysz. Dla tego też zdziwiłem się nie pomału, gdym otrzymał pańskie zaprosiny...

To rzekłszy, natychmiast się wylegitymował. Wydobył z zanadrza list i pokazał go panu Stanisławowi, który, rzuciwszy okiem na swoje własne pisanie, poznał, że ma przed sobą Prospera Grzędę, malarza. Poznał oraz, że zaproszenia tego pana powodem, być musiało nieporozumienie.

Nieporozumienie Grzęda sam wytłómaczył:

— Kilka dni temu oddałem panu wizytę, a nie zastawszy nikogo w domu, zostawiłem moją kartę. Chciałem przeprosić kogoś pod pańskim dachem. Zdziwiłem się przeto, że zamiast rewizyty, otrzymałem od pana zaproszenie na tańcujący wieczór. Otrzymawszy jednakże, nie

pozostawało mi nic innego, tylko ustroić się po balowemu i stawić się na wezwanie...

Z uśmiechem spojrzał pan Stanisław na balowy strój malarza, rażący anachronizmem. Literaci także nie w modnych wystąpili frakach, ale przecie w takich, które modnymi były nie dawnięj jak wczora, więc mogły jeszcze ujść. Przytem akcessorja były takiemi, jakich wymagały salonowe zwyczaje. Nic w nich nie raziło. Strój zaś Grzędy był rękawicą, ciśniętą modzie i zwyczajom. Nie mógł ujść żadną miarą, chyba tylko jako *curiosum*. Panu Stanisławowi jako gospodarzowi, należało, przez wzgląd na gości: albo Grzędę wyprosić za drzwi, albo też przedstawić go zgromadzeniu jako pewien rodzaj społecznego fenomenu.

Pan Stanisław, przez wzgląd zapewne na to, że ostatni raz w życiu się bawił, nie chciał malarzowi robić przykrości. Podał mu więc rękę i powiedział, iż bardzo obecnością jego jest ucieszony.

— I ja bardzo się cieszę, żem się do pana dostał, była odpowiedź Grzędy. Przedstaw że mnie pan swojéj żonie i córce...

Pan Stanisław ujął jego rękę pod ramię i poprowadził.

— Juljo, rekomenduję ci znakomitego malarza, artystę...

Pani Julja zmierzyła go oczami od stóp do głowy i odpowiedziała, iż cieszy się.

Prowadził go daléj i każdemu rekomendował.

— Artysta, znakomity malarz...

Wyrazy „artysta, znakomity malarz” przebiegały z ust do ust. Całe towarzystwo zwróciło na malarza uwagę. Formalizowano się wprawdzie jego frakiem. lecz z pewnem umiarkowanem uszanowaniem, bo z pod tego fraka przeglądała... znakomitość.

Znakomitość nasza, wciąż prowadzona pod ramie przez pana Stanisława, z kolei znalazła się w obec panny Lucyny.

— Lucyno, rekomenduję ci artystę, znakomitego malarza...

Wymówiwszy te wyrazy, puścił pan Stanisław rękę malarza i oddalił się. Pan Prosper i panna Lucyna znaleźli się oko w oko w ciżbie pod promieniami kilku tuzinów par ócz.

Panna Lucyna olśniła pana Prospera. Jakże bo olśnić nie miała. Jéj naturalną piękność strój balowy do najwyższej podniósł potęgi. Miała na sobie pomarańczową z atłasu suknię a na téj drugą z *tulle illusion*, na którym w rzadkie rzutki złotem i jedwabiami wyszyte były pszczółki. Wyglądała więc jakby płynęła w obłoku, otoczona rojem brzęczących, a połyskujących owadów. Suknia zwierzchnia podpiętą była z boku

bukietem z maków, bławatów i kłosów; taki sam bukiet tkwił na piersiach i taki sam w kruczych warkoczach, które obwijały głowę niby wieniec, niby korona z hebanu w sploty. A pod koroną jaśniało białe, gładkie czoło, a pod czołem szafirowe jak południowe niebo, długiemi ocienione rzęsami oczy, dalej klassyczny nosek, usta, pysznie wytoczona szyja, alabastrowe, nagie ramiona i gors, przedstawiający kształty, o jakich się filozofom może i nie śniło, które wszakże malarz umiał ocenić. Stanął więc przed nią w niemym zachwycie. Widywał ją zawsze piękną; tak piekną jednakże nigdy nie widział. Biły od niej: jakiś olśniewający blask i jakieś odurzające ciepło. Stosowne dobranie kolorów czyniło z niej istotę płomienną — piekielnie piękną, szatańsko-ponętną.

Oniemiał więc nasz malarz i oczy szeroko otworzył, a za oczami i usta. Był to najpochlebniejszy dla Lucyny komplement, pochlebniejszy niż bankierski „śliczna," niż poważnego Jagniewicza „zachwycająca," niż wszystkie pochwały, które się na nią tego wieczora zgodnym chórem, z ust nawet płci pięknej, sypały.

Oniemiał malarz, lecz oniemiała i Lucyna. Strój dziwaczny Prospera i wyrazy „artysta, znakomity malarz" zrobiły na niej wrażenie; nie takie wszakże jak to, że ujrzała przed sobą niby

z ziemi nagle wyrosłego człowieka, z którego ust usłyszała wyrazy:

— Kocham ciebie...

Ujrzała przed sobą człowieka-karykaturę, którego zkarykaturować nie była w stanie.

Chwilę stali naprzeciwko siebie, jak dwa posągi. Jedno do drugiego chciało coś przemówić, ale, ani weź — z języka użytek zrobić. Nawet sobie w oczy patrzyli ukradkiem, jakby poczuwali się do jakiegoś złego uczynku, na którym ich publiczność schwytała. Podnosili oczy, to spuszczali i takie robili miny, jak ludzie chcący zabrać głos i powstrzymujący się w chwili poprzedzającéj ust otworzenie.

Mnóstwo oczów zwróciło się na nich. Była to bowiem para wyróżniająca się w zgromadzeniu: ona pięknością, on oryginalnością, połączoną z przymiotnikiem „znakomity" — przymiotnikiem, mającym własność imponowania tłumom nawet modnym.

W zgromadzeniu jednakże nie mogli długo pozostać w takiéj pozycji, w jakiéj przypadek ich postawił. Musiało się to skończyć. Prosper chrząknął; chciał coś powiedzieć; lecz wyrazy które miał na języku, zlały się w westchnienie: westchnął i ukłonił się.

Ten spóżniony ukłon wypadł arcy komicznie. Lucynie oblały się policzki rumieńcem, dygnęła

machinalnie i — uciekła. Uciekła: nie znaczy że pobiegla, pomimo że jéj nóżki, w białe atłasowe uwięzione trzewiczki, do biegu się zrywały. Powściągnęła jednakże ochotę i odeszła powoli, majestatycznie, z rumieńcem na twarzy i z żalem w sercu — z żalem dziwnym, bo, w tejże saméj chwili w któréj się urodził, przebaczającym wszystkie zbrodnie, jakich się Prosper dopuścił: i dziwaczność stroju i śmieszność spóźnionego ukłonu — i ciągnącym naszą bohaterkę w stronę bohatera. Lucyna się oddaliła, lecz okiem ścigała malarza. Widziała go ze wszystkich punktów salonu. Widziała jego postać, do któréj, jako do znakomitości, zbliżali się ludzie z pewnem uszanowaniem. Widziała, czego nikt nie dostrzegał: dwa duże skrzydła z pod staroświeckiego wyrastające fraka.

To samo działo się z Prosperem. I on z każdego punktu salonu widział Lucynę — Lucynę i nikogo więcéj. Był roztargniony, odpowiadał nie na zapytania, okazywał jakąś niespokojność. Symptomata te goście pana Stanisława, kładli na karb znakomitości.

Pomiędzy Lucyną a Prosperem, zawiązały się dziwnego rodzaju wyścigi. Jedno za drugiem goniło i jedno od drugiego uciekało. Krążyli około siebie, jakby kolejno biorąc, jedno to drugie rolę to słońca, to księżyca.

A bal się rozwijał — wbrew oczekiwaniu wszystkich — wesoło, coraz to weseléj Pan Stanisław był w najlepszym humorze i niewyczerpany w sposobach pobudzania do wesołości. Sam starczył wszystkiemu, bo pani Julja mu nie pomagała. Usiłowała ona i uśmiechać się i mówić i zachęcać; lecz były to usiłowania, jakby wymuszone. Z ich głębi przeglądał smutek, który tylko czasami, błyskawicznym sposobem, pojawiał się na czole pana Stanisława, z gorączkowym zapałem dającego gościom przykład bawienia się. To też bawiono się. Tańce, zaloty, popisy muzycznych artystów ciągnęły się do wieczerzy, a po wieczerzy znów tańce, zaloty i popisy. Panna Lucyna występowała ze śpiewem. Ustęp z Trovatora i „Rosła Kalina" wywołały grzmotne oklaki, aż pp. Armulph, Jagniewicz, Prawecki i inni przerwać musieli na chwilę wista, wstać i czynnie przyłączyć się do chóru zachwyconych. Przy téj okazji bankier zbliżył się do pani Julji i powiedział jéj, że jéj pasierbica jest ozdobą towarzystwa.

— Ach, panie, odparła pani Julja. — Jutro już nią nie będzie...

Bankier zrozumiał znaczenie tych wyrazów i odrzekł:

— Niech pani będzie spokojna...

Pani Julja westchnęła.

— Ot tylko co powiedział mi pan Jagniewicz do ucha, ciągnął bankier — że wziąść taką pannę Lucynę za żonę, to to samo, co dobry zrobić interes... A nasz świat na interesie stoi... Niech-no pani będzie spokojna...

Właśnie świtać poczynało, kiedy ostatnie akordy śpiewu Lucyny pokryła istna burza oklasków. Pan Stanisław podszedł do córki i pocałował ją w czoło. Gdy usta odjął, na jéj czole błysnęły dwie duże krople. Były to łzy, które się z ócz ojca stoczyły. Uczuła je Lucyna po gorącu. Spojrzała ojcu w oczy, lecz pan Stanisław uśmiechnął się, odwrócił i odszedł — i, spostrzegłszy pomiędzy gośćmi ruch, oznaczający że się zabierają do odejśca, zawołał na orkiestrę:

— Poloneza!...

Podszedł do dyrektora i szepnął mu do ucha:

— Ogińskiego, tego co Ogiński kazał sobie grać przy śmierci!....

Zagrzmiał polonez, nad którego piękniejszego żaden jeszcze podobno nie skomponował muzyk. Polały się tony wspaniałego tanecznego marsza, pełno melodji i powagi, poważne i porywające. Goście się wstrzymali. Pan Stanisław począł namawiać i prosić:

— Poloneza, jeszcze jednego... ostatniego poloneza...

Kręcąc się pomiędzy gośćmi natknął się na Prospera:

— Przypatruj się pan polonezowi... Będzie w nim ciekawa figura, jakiej nie widziałeś, a która przyda się panu, jako malarzowi...

Zbliżył się do żony, podał jéj rękę i w pierwszéj posunął parze. Za nim posunęło par trzydzieści kilka.

Dziwny to był polonez. Ci co go tańczyli, opowiadaję, że od razu doznali nieopisanego uczucia trwogi, pomimo, że pan Stanisław, niby w upojeniu radości, wykrzykiwał na czele „hop, ha!” i „nuże daléj!” Gdy się odwrócił i do idących za nim zawołał:

— Róbcie panowie, co ja będę robił!... Ten polonez będzie z figurami!...

Z oczów jego strzeliło szyderstwo w połączeniu z wyrazem rozpaczy, czy obłąkania.

— Hop ha!... krzyknął i lewą rękę tancerce-żonie podał. Wszyscy to samo zrobili.

Prawą dłoń włożył w zanadrze fraka i serce nią przycisnął. Wszyscy to samo zrobili.

Przyklęknął na lewe kolano przed tancerką i w rękę ję pocałował. Wszyscy to samo zrobili.

Prawą rękę wydobył z zanadrza, podniósł ją na równi z własną skronią i...

Padł strzał.

Pani Julja z przeraźliwym okrzykiem rzuciła się w tył.

Mężczyzni zerwali się z klęczek.

Kobiety owładło przerażenie.

Muzyka ucięła. W chwilowéj ciszy zabrzmiał okrzyk, przeciągły, rozdzierający i raptem urwał się.

Powstało zamięszanie. Jedni poskoczyli do pani Julji, drudzy do panny Lucyny, a inni zbili się w kółko około pana Stanisława i przypatrywali się podrygom konania. Jeszcze inni, jak pan Armulph, pan Jagniewicz, Prawecki i paru ze złotéj młodzieży, cichaczem się wynieśli.

Pan Prosper nie chcąc pomnażać zamieszania, stanął sobie z boku, ręce na piersiach po Napoleońsku skrzyżował i przypatrywał się grze uczuć, jakie wypadek na oblicza gości kolejno wywoływał. Widział na nich najprzód przerażenie, potem ciekawość, potem politowanie, w końcu obojętność. Ta ostatnia wygnała tłum z domu bankruta. W salonie pozostali: pan Prosper i trup z przedziurawioną czaszką. Miejsce skocznych akordów muzyki zajął rozchodzący się po domu odgłos płaczu kobiecego...

VI.

Człowiek, gdy naturalną umrze śmiercią, to trupem już, pozostaje jeszcze własnością rodziny. Schodzą się do niego żona, dzieci, krewni, przyjaciele i — jeżeli to prawda, że dusza, wyszedłszy z ciała, nie od razu odlata, to cóż to za rozkosz dla niéj być musi, widzieć niekłamane łzy, słyszeć gorące westchnienia, czuć, że się było kochanym.

U wezgłowia samobójcy zasiada zgroza. Rodzina w trupie widzi dwie istoty: zwłoki ukochanego i tegoż ukochanego mordercę. Do pierwszego by się garnęła, lecz odpycha ją drugi. Odpycha ją samym czynem popełnionéj zbrodni, odpycha ją i tem jeszcze, że sprowadza urząd, który sztywnością formy razi uczucie i krępuje swobodę żalu. Samobójca, we względzie moralnym, wielką zadaje rodzinie krzywdę.

Taką krzywdę zadał pan Stanisław pani Julji i pannie Lucynie. Uciekły one od ciepłych jeszcze zwłok, bo te zwłoki były trupem mordercy, który pozbawił jedną — męża, drugą — ojca.

Przyszedł urząd z twardemi jak kułaki zapytaniami i z sądem na trupa. Kobiety nie mogły

swobodnie płakać. Musiały opowiadać, czy nieboszczyk je kochał i jak kochał. Lucyna musiała zdradzić tajemnicę dwóch łez gorących, które jéj czoło piekły. Następnie szukano zbrodni w mózgu i sercu trupa. Chirurg krajał go na kawałki i opowiadał anegdoty policjantom, którzy się głośno śmieli. A pod ścianą, ze skrzyżowanemi na piersiach rękami stał Prosper niby posąg. Oczy jego były szklanne, bez wyrazu. Głowę nieco przehylił. Słuchał płaczu i śmiechu. Przyszedł inny urząd z regestrami i pieczęciami. Ten obawiał się, ażeby trup nie zabrał czego z sobą do grobu. Więc się spieszył. Pieczętował wszystko co mu się pod rękę nawinęło. Może w zapale pełnienia swojéj powinności byłby zapieczętował pokój, w którym przebywały pani Julja i panna Lucyna, gdyby nagle nie zjawiła się pani Prawecka z proźbą do tych pań, ażeby przyjąć u niéj raczyły chwilowe schronienie. Proźba ta, w takiéj chwili była tego rodzaju, że odrzucenie jéj było czystem niepodobieństwem. Pani Julja przeto powiedziała tylko z płaczem:

— Jakaż pani dobra!...

I z płaczem poczęła zbierać różne drobnostki do ręcznéj torebki. Te drobnostki były to klejnoty i klejnociki, które wydobywała z szuflad i szufladek, były to — jak mówiła — „drogie pamiątki.” Wypakowała temi pamiątkami pełną

torebkę, zarzuciła na siebie mantylę i wyszła. Lucyna wyszła także za matką, ale nic z sobą nie wzięła. Wyszła jak stała — w balowéj sukni, z bukietem na piersiach, z nabrzmiałemi od płaczu oczami. Bukiet z włosów jéj wypadł i warkocze się rozplotły. Jeden z warkoczy czarnym wężem przewijał się przez obnażony gors.

Przechodząc przez salon, w którym na kanapie, przez policjantów położony i prześcieradłem okryty, leżał trup pana Stanisława, pani Julja przebiegła, jakby ją przestrach gonił, Lucyna rzuciła się przy zwłokach ojca na kolana, twarz w dłonie ukryła i nie płakała — zapewne modliła się.

A kiedy ona była na kolanach, Prosper opuścił stanowisko swoje pod ścianą, zbliżył się do kanapy i ukląkł obok niéj.

Po niejakimś czasie na progu salonu od wejścia pojawiła się pani Prawecka i zawołała:

— Panno Lucyno!...

Lucyna się nie odwróciła.

— Proszę pani!...

Lucyna się nie ruszyła.

— Mama czeka!...

Lucyna głęboko westchnęła.

Pani Prawecka podeszła do niéj i, trącając ją końcami palców w ramie, powtórzyła razem to, co tylko co w trzech wypowiedziała ustępach:

— Panno Lucyno, proszę, mama czeka...

— Niechże-ż pani da jéj spokój!... ofuknął się na to pan Prosper. Ona z ojcem rozstaje się na wieki. Pozwól-że pani modlitwą go córce pożegnać...

Pani Prawecka odstąpiła parę kroków ze zdziwieniem a Lucyna podniosła głowę i spojrzała na malarza, którego obecność dopiero teraz postrzegła. W oczach jéj był wyraz:

— Dziękuję...

Nie rzekła jednakże ani słowa, wstała i w milczeniu udała się za panią Prawecką, która ją wyprowadziła na balkon, a z balkonu do karety. Kareta była własnością pana Oswalda Armulpha.

W domu niegdyś pana Stanisława pozostali policjanci, malarz i trup.

Sąd nad tym ostatnim zakończył się wyrokiem:

— Pochować...

Nie mógł bo się inaczéj zakończyć. Zbrodniarz popełnił zbrodnię i zarazem wyprzedził sprawiedliwość, przez wykonanie nad sobą wyroku śmierci. Nie można więc już było wskazywać go ani na śmierć, ani na żadną karę. Nie pozostawało nic innego, jak wskazać go na pochowanie.

Chodziło tylko o wykonanie wyroku, inaczéj o koszta pogrzebu. Kto je poniesie?

Zapytanie to obiło się o uszy Prospera. Bez namysłu i wahania odpowiedział:

— Ja...

— Pan dobrodziéj był zapewne przyjacielem nieboszczyka? zapytał urzędnik.

— Przyjacielem?... a . tak... byłem... bardzo krótko... jedną chwilkę... ale byłem...

— Nieboszczyk zostawił żonę i córkę...

— Wiem...

— Więc może one zechciałyby oddać mu ostatnią przysługę...

— Nie wiem...

Prosper nie mógł nie przyznać słuszności uwadze urzędnika.

— Pan może zechcesz podjąć się zapytania...

— Chętnie — odparł — tylko nie wiem, gdzie szukać te panie...

— Pani, co po nie przyjeżdżała, jest to żona adwokata, pana Praweckiego. Nic więc łatwiejszego, jak dopytać się do adwokata i od niego dowiedzieć się o miejscu schronienia pani i panny Ciołeckiéj...

Za chwilę potem nasz malarz był już w pomieszkaniu adwokata.

Adwokat powitał go, jak się zwykło witać znakomitość:

— Jakżem szczęśliwy! ale...

— Czy pan nie wiesz, gdzie się znajdują pani Ciołecka i jéj córka...

— Te panie raczyły przyjąć gościnnoéć pod moim dachem...

— Potrzebuję z niemi widzieć się i parę słów pomówić...

— Zapewne pan dobrodziéj, rzekł adwokat ze słodkim uśmiechem — ma jakiś rachunek, który nie został zaciągniony na rejestra długów nieboszczyka. Jeżeli tak jest, to mam zaszczyt uprzedzić pana, że pani Ciołecka nic nie wniosła i nie wyniosła... Te panie nie mają nic...

— Nic?... rzekł pan Prosper, w którego uchu ten wyraz dziko zabrzmiał.

Rozumiał on znaczenie tego „nic."

Adwokat westchnął.

— Więc pan dobrodziéj i po tem objaśnieniu chce się z temi paniami widzieć?...

Prosper się zamyślił. Po chwilce odpowiedział:

— O, tak... chciałbym... Nie przynoszę żadnego rachunku, ani upominam się o żaden dług...

— To co innego... W takim razie, służę panu...

Poprowadził go do saloniku, w którym zgromadzonych było kilka dam. Z tych jedne płakały, drugie płaczące pocieszały. Zdarzało się,

że pocieszająca stawała się nagle płaczącą, a płacząca pocieszającą. Niektóre jednakże płakały stale. Do takich należała pani Julja.

— Ach panie! jakieś straszne spadło na mnie nieszczęście!... zawołała, gdy malarz obok niéj usiadł. Straszny cios!... utrata majątku i utrata męża... Pan byłeś tam do ostatka?...

— Byłem do téj chwili...

— Wszystko opieczętowane?...

— Wszystko i oto przychodzę oznajmić pani, ażebyś się nie ambarasowała pogrzebem męża...

— Cóż bym ja tam poradziła!... podchwyciła pani Julja. O, ja nieszczęśliwa!...

— Owóż, niech się pani nie ambarasuje... Pogrzeb odbędzie się uczciwie... Proszę tylko dać mi w tym względzie upoważnienie...

— O, panie!...

Lucynie znów z oczów strzelił wyraz:

— Dziękuję...

Prosper zajął się pogrzebem.

Łatwo to się zająć czemś podobnem, kiedy są pieniądze. Kilka wyrazów, tyle fatygi co przespacerowanie się do przedsiębiercy pogrzebów i cała rzecz załatwiona. Ale z Prosperem było co innego. Wyszedłszy od adwokata, sięgnął ręką do kieszeni i wydobył trzy ruble, sześćdziesiąt kopiejek i trochę miedziaków. Była to cała jego gotówka. Więcéj nie posiadał, ani gro-

sza. Ale miał zegarek ze złotym łańcuszkiem, należało mu się za parę malowideł i miał kredyt w paru sklepach.

— Poruszę wszystkie sprężyny, myślał sobie idąc — i wydobędę pieniądze na pogrzeb...

Poruszył wszystkie sprężyny — zastawił zegarek, wykołatał część należności, w sklepach wziął co się wziąść dało i kazał sporządzić trumnę, obitą z wierzchu czarnem suknem z białemi gwoździami, zamówił kondukt i sprawił pogrzeb.

Nie był to pogrzeb wspaniały, ale przyzwoity. Ciekawość ściągnęła nań dużo ludzi. Pani Julja i panna Lucyna były na nim w czarnych krepowych sukniach. Ta ostatnia znów, nie mówiąc, powiedziała malarzowi:

— Dziękuję...

Prosper był rozkochany po uszy. Bal, samobójstwo, pogrzeb były to kolory, któremi wyobraźnia jego malowała tło i na tém tle stawiała postać Lucyny, jednakowo estetycznie doskonałą, czy to w balowéj, czy kirowéj odzieży. Był nią zachwycony, a zachwyt okazywał przez to, że po pracowni swojéj chodził wzdłuż i wszerz i wzbijał straszliwy kurz.

Powróciwszy z pogrzebu, chodził, o czemś myślał, w palce klaskał, i ani spostrzegł, jak drzwi się otworzyły i wszedł książe. Trudnoż

bo było co spostrzedz przez tumany kurzu. Wszedł, stanął przy progu i począł się rozglądać. I zawołał:

— Prosperze!...

— Ha!... była odpowiedź malarza.

— Więc to ty!... rzekł książe żartobliwym tonem. Otoczyłeś się kłębami...

— Ach! to książe!... wykrzyknął Prosper — kochany, drogi książe! Jakże kontent jestem, żeś przyszedł! a jak w czas! Tyle rzeczy mam ci do powiedzenia!...

— No?... z uśmiechem zapytał książe.

— Tyle rzeczy mam ci do powiedzenia!... powtórzył Prosper.

I stanąwszy przed księciem, wyciągnął się, położył prawą dłoń na ciemieniu, jakby je wgnieść chciał w mózg, i zawołał:

— Ach! tyle rzeczy!...

— Cóż przecie?...

Malarz głową pokiwał i wpatrzył się w poważną księcia twarz.

— Cóż?... powtórzył ten ostatni zapytanie.

— Patrz mi w oczy...

— Niech pierwéj kurz osiędzie... podchwycił książe z uśmiechem.

— Ty żartujesz, a ja chciałbym rozłamać deskę moją piersiową, otworzyć ją i pokazać ci serce... Wiesz?... kocham!...

Księcia twarz była dobrotliwie uśmiechniętą.

— Cóż dalej?... zapytał.

— Co?... kocham!... jeszcze raz: kocham!... tysiączny, miljonkrotny raz kocham!...

— Prowadź-że tę miłość na... Cheroneję...

Na te wyrazy malarz drgnął całem ciałem. Książe ciągnął dalej:

— Podnieś ją o jeden stopień potęgi wyżej i szlachcicowi w żupanie, z którego łokcie wyłażą, włóż w oczy, zawieś na brwiach, na czole, na wąsach...

— Kiedyż on bez wąsów... podchwycił malarz.

Książe spojrzał mu w oczy z wyrazem zapytania we wzroku.

— Bez wąsów, bo to geniusz...

Nagle dłonią oczy przetarł, ręką machnął i zawołał:

— Co mi tam geniusz!... co mi tam Cheroneja!... Genjusze i Cheroneje, z drogi!... precz!...

I począł chodzić szybko po pracowni.

Książe przed kurzem cofnął się do sieni. Tam postał przez chwilę. Popatrzył na napis „Floh-Akademie.” Uśmiechnął się. Wyszedł na galerję. Zajrzał przez okno do pracowni, a widząc, że malarz wciąż chodzi, ruszył ramionami, pokiwał głową i ostrożnie się oddalił. Spuściwszy się ze schodów, spotkał na dole panią Pawłowę.

— Czy dawno mieszka u was malarz?... zapytał.

— Od trzech lat, proszę jegomości...

— Czy w przeciągu tego czasu było choć raz w jego izbie zamietane?...

— Byłoby zamiatane tyle razy, ile trzy lata liczą dni, gdyby pozwolił... Co ja się go naproszę!... Nic nie pomaga... A ma taki piękny przed oczami przykład w tym panu, co pchły edukuje... Oto tam, gdyby jegomość zajrzał... aż miło... jak w pudełeczku...

VII.

Książe uchodził za dziwaka i przytem był powagą. Powiadano o nim „warjat” i obok tego jego zdanie miało znaczenie wyroczni.

Uchodził za dziwaka, bo miał dziwny sposób obchodzenia się z ludźmi. Nic u niego nie znaczył ród, nic majątek, nic delikatny sposób wychowania. Ród, majątek i wychowanie odsuwał na stronę i szukał głębi duszy, a w téj głębi, istotnéj wartości, którą wynaleźć umiał. Ztąd nieraz wysoko urodzonych i bogaczów traktował

jak lokai; biedakom zaś, należącym do najniższych społeczeństwa warstw, oddawał honory najwyższe. A był przytem grzecznym dla wszystkich, tylko, że grzeczność jego bywała często szyderską — tak jednakże naturalnie, tak spokojnie szyderską, że można go było nazywać warjatem na stronie, lecz nie w oczy.

W oczy też doznawał od ludzi wielkiego nadskakiwania, a to dla dwóch głównie powodów: raz: dla tego, że był bardzo bogatym, powtóre dla tego, że jego pochwała znaczyła tyle, co dyplom na rozum, talent lub cnotę. W chwaleniu był trudnym: lecz kogo pochwalił, ten z pewnością zasłużył. To było powodem powagi, jakiéj w różnych sferach społeczeństwa używał.

Znał się na wszystkiem. Zdaje się, nie było nauki, sztuki, nawet rzemiosła, o którem by gruntownych nie posiadał wiadomości. Jego pomieszkanie, pyszny po przodkach odziedziczony pałac, wyglądało wewnątrz jak bibljoteka, muzeum i politechniczny zakład. Napełniały je książki, malowidła, rzeźby i mnóstwo do różnych gałęzi przemysłu i do rolnictwa odnoszących się modeli. Było tam wszystko, co zagranica wynalazła i co do naszego kraju zastosować by się dało. Książę to wszystko gromadził w ogromnéj ilości, trzymał na pokaz, lecz sam nic nie zastosowywał. Nie umiał, czy nie chciał! — to było

jego tajemnicą. Prędzéj jednakże drugie, niż pierwsze. Bardziéj teoretyk niż praktyk, działalność swoją ograniczał na zachęcaniu innych do przedsiębrania tego co powinno być zrobionem, a czego nie ma, i na krytykowaniu tego co jest, a co być nie powinno. W społeczeństwie przeto miał on znaczenie sumienia, które — jak wiadomo, wiele rzeczy nagania, mało pochwala, do ulepszeń gromadzi materjały, lecz samo do ulepszeń nie przeprowadza. Ztąd pochodzi, że tylko pochwały mają pewną doniosłość: nagany powszednieją, materjały do niczego nie służą.

Naszego księcia nie chciałem przedstawić lepszym, jak w rzeczywistości był. Był jednakże człowiekiem bardzo zacnym, bynajmniéj nie dziwakiem, tylko trochę oryginałem. Pochwały jego miały wielką doniosłość, a to dla tego, że rzadko ich udzielał.

To też, gdy tu i ówdzie powiedział, że Prosper jest znakomitym malarzem, powiedzenie to gruchnęło, jako wieść, na skronie artysty wieniec sławy wkładająca.

Wieść ta nie znalazła publiczność nieprzygotowaną.

Bal nieboszczyka pana Stanisława stał się na długo — to jest, na kilka dni, modną treścią wszystkich rozmów. Po salonach, warsztatach, traktjerniach, cukierniach o niczem innem nie

mówiono. Opowiadano o nim sobie ze wszystkiemi, najdrobniejszemi szczegółami, ze szczegółami tak drobnemi, których żaden z obecnych nie dostrzegł, albo które, zdając dopiero sobie lub drugim sprawę z wypadku, zrozumiał. Do takich późniéj zrozumianych szczegółów, należała obecność na balu malarza.

— Po co wziął się ten malarz na balu i dla czego nieboszczyk Staś tak go oprowadzał po salonie i tak wszystkim rekomendował?... pytał Alfons Alfreda.

— Ażeby go zaznajomić z fizjognomią balu i przez to ułatwić mu odmalowanie polskiego tańca zakończonego po angielsku... odpowiedział Alfred Alfonsowi.

Leon, Adam, Gustaw i Rudolf do odpowiedzi dodali chóralne:

— Aaa...

Zrozumieli rzecz.

— Ten Staś chwacko się spisał, rzekł Adam. Zadość uczynił teraźniejszości i pomyślał o przyszłości. Sprowadził na bal nietylko malarza. Był tam i powieściopisarz...

— O!... podchwycił Gustaw, który uchodził za interessującego się piśmiennictwem polskiem, który?...

— A ten z kwaśną miną, wyraźnie głodny... odparł Adam od niechcenia. Był także i poeta

i muzyk... Malarz uwieczni wypadek w obrazie, autor opisze go w powieści, poeta wyśpiewa w poemacie, a muzyk skomponuje jakiś marsz...

— Świetny pomysł!.... odezwało się kilka głosów.

— Szkoda tylko, że i obraz i powieść i poemat i marsz będą po polsku!... wsunął Alfons czy Alfred.

Gustaw ujął się za polszczyzną, lecz ustąpić musiał przyjaciołom, którzy dowiedli mu jasno jak na dłoni, że wypadek taki oryginalny, z powodu polszczyzny utraci wiele ze swojéj oryginalności.

— Któż bo czyta polskie powieści i poemata!... rzekł Adam. — Gustaw? ale, jak?... W łóżku, do snu, a gdy się rano obudzi, to z téj saméj książki, która go wieczorem tak zachwyciła że aż usnął, wydziera kartki, nie zważając, czy te co przeczytał, czyli też te, co ma następnego czytać wieczora...

Odkrycie to wielce rozweseliło przyjaciół. Żartowali z Gustawa i mieli za złe nieboszczykowi, że przyszłość swoją polskim powierzył piórom — piórom, powtarzam, bo co do muzyka i malarza, to na tych z łatwością się zgodzili. Każdy bowiem ze złotéj młodzieży był w Paryżu, każdy słyszał o Chopinie, każdy zwiedzał wystawy sztuk pięknych — a na tych, obok fran-

cuzkich, niemieckich, włoskich etc. małowideł, widział Kossaka konie, Rodakowskiego portrety (Matejki ani Grottgera jeszcze podówczas nie znano) i nawet staroświecki polonez któregoś z nadwiślańskich artystów. Więc, pomimo że nazwisko „Grzęda” chłopską trąciło strzechą, znakomitość jednakże tego, co to nazwisko nosił tak była imponującą, że znalazła uznanie. Któryś nawet z tych panów stanowczo twierdził, że na wystawie paryzkiéj widział duży obraz Grzędy, za który Grzędzie przyznanym został krzyż legji honorowéj.

— No, więc teraz, odezwał się Rudolf — ma Grzęda szerokie do popisu pole... Bogata treść! strzelający sobie w łeb Stanisław, strwożeni goście, zrozpaczona żona, a wszystko to oświecone blaskiem... stearynowych świec...

— A o Lucynie zapomniałeś?... podchwycił Gustaw.

— Sama temu winna, wsunął Alfred. Czemu nie ma posagu!... Gdyby miała, byłby Rudek o niéj pamiętał...

— Ha! gdyby posag miała... westchnął Adam.

— Gdyby miała... zawtórował Alfred.

Westchnienie kilka męzkich podniosło piersi. Podniosło i uleciało. Biedna Lucyna! Żaden z tych nie posunie o jéj rękę.

— Z tem wszystkiem będzie ona pysznie na obrazie figurowała, zakonkludował Alfons, byle tylko malarz trafnie ją odportretował... Śliczna bo to dziewczyna!...

Młodzi panowie jednogłośnie potwierdzili ostatnie Alfonsa wyrazy i jednogłośnie ubolewali nad bezposażnością Lucyny.

— Chyba by w niéj się kto rozkochał... zrobił uwagę Gustaw.

Odpowiedzią na tę uwagę był jednogłośny śmiech.

Biedna Lucyna!

Młodzi panowie nie wiedzieli o jednéj rzeczy, mianowicie, że nieszczęście, jakie spotkało panią Julję i pannę Lucynę, pobudziło do szczodrobliwości jednego bardzo bogatego człowieka. Człowiekiem tym był pan Oswald Armulph.

Kareta jego odwiozła te panie do domu państwa Praweckich. Nie dość jednakże na tem. Ta sama kareta odwiozła je do innego domu, umeblowanego nie bez gustu, chociaż dość skromnie, ale zaopatrzonego we wszelkie wygody, do jakich rościć nawet prawa nie miały kobiety nie posiadające nic. W tym dniu, na progu, powitał je pan Armulph i z szarmanckim uśmiechem przemówił:

— Do téj chwili byłem tu gospodarzem, od téj chwili przestaję nim być... Funkcja gospo-

darska w tem skromnem pomieszkaniu, przechodzi w całości na panie...

Pani Julja zrobiła taką minę, jakby nie rozumiała o co chodzi, i odparła:

— Ależ, panie, nie mam nic, nie mogę brać takiego pomieszkania...

— Niech pani to nie obchodzi...

— Nie będę miała czem opłacić...

— Nech pani to nie obchodzi...

— Nie może nie obchodzić, bo gdy przyjdzie rachunek...

— Pani będzie się rachowała ze mną... podchwycił pan Armulph, opierając dobitny na ostatnim wyrazie akcent — ze mną — powtórzył dla tem większéj dobitności, a ja zrobię z panią rachunek po wyjściu roku żałoby; a z tego rachunku, który ja zrobię, może pani nie będziesz niezadowolnioną...

Ostatnie wyrazy wymówionemi były tonem i akcentem przezroczystéj zagadki, od któréj policzki panny Lucyny oblały się szkarłatem. Pan Armulph śmiał się, kłaniał i oprowadzał panie po pokojach, których było cztery.

— Oto jest, mówił, szalonik z fortepianem dla panny Lucyny, ażeby miała na czem sobie pograć...

Popatrzył Lucynie w oczy, spodziewając się snadź od niéj podziękowań. Lecz ona nie dzię-

kowała. Szkarłat z jéj policzków ustąpił, a na jego miejscu rozlała się bladość. Usta jéj, z których krew ustąpiła, drżały. Rolę dziękującéj wzięła na siebie pani Julja.

— Jakże panu wyrazić mam wdzięczność!...

— Niech pani nie dżękuje... mówił pan Armulph. Ja tyle doznaję przyjemności, że mogę paniom taką bagatelką się przysłużyć... Ja taki kontent...

„Ja" w ustach bankiera brzmiało ze szczególną dobitnością. Gdy je wymawiał, puszył się i robił taką minę, iż się zdawało, że podniesie rękę i palcem ukazicielem sobie na pierś pokaże.

— Pan taki dobry, taki grzeczny, taki uprzedzający, tak o wszystkiem pamiętający... mówiła pani Julja.

— Ja, odparł pan Armulph — wielkiéj doznaję przykrości, gdy słyszę komplimenta... Ja co robię, robię dla tego, że taka już moja natura... Ja nie mogę patrzeć się na nieszczęście...

Na wyraz „nieszczęście" pannie Lucynie z oczów łzy trysnęły i popłynęły potokiem, jakby nagle za powiekami przerwała się szluza, która je wstrzymywała.

Uderzyła w głośny płacz.

Płacz ten był gwałtowniejszym, że usiłowała go stłumić. Wybuchała więc chwilami łkaniem

i dusiła dłoniami chustkę do ust. Pan Armulph ją pocieszał.

— Niech pani nie płacze... Pani płacz rozdziera mi serce... Wielkie to nieszczęście, stracić majątek (chciał dodać i „ojca," lecz w obec ogromu straty majątku, ta druga strata wydała się mu bagatelna); lecz nie jest ono jeszcze tak wielkiem, kiedy pozostali przyjaciele...

Lucyna nie dosłuchała całéj przemowy. Wyszła do przyległego pokoju, który bankier nazwał „szypialnym," rzuciła się na łóżko i utopiła głowę w poduszki. Pani Julja dziękowała dobroczyńcy i przepraszała go za córkę.

— Niech pan jéj za złe tych łez nie bierze... Ona jest nadzwyczajnie tkliwą...

— O, pani! za kogóż to mnie pani ma, ażebym *ja* brał za złe pannie Lucynie, że boleje nad własnem nieszczęściem... *Ja* rozumiem, co to jest nieszczęście. *Ja* także mam szerce...

Odgłos łkania przykre snadź wrażenie sprawiał na sercu bankiera. Wkrótce potem pożegnał panią Julję, wsiadł do karety i odjechał.

Pani Julja udała się natychmiast do pasierbicy.

— Lucyno, rzekła z gniewem, ty zapominasz o najprostszych prawidłach przyzwoitości... Nie podziękowałaś nawet człowiekowi, który nam wyświadczył dobrodziejstwo...

— Ach! mamo!... przerwała Lucyna. Mnie dopiero teraz uderzył cały ogrom naszego nieszczęścia... W obec tego dobrodziejstwa, gwałtowna śmierć papy i strata majątku wydają się mi niczem... Zdawało się mi, że mama odrzuci to dobrodziejstwo...

— A to czemu?... zapytała pani Julja ze zdziwieniem.

— Czemu?... nie wiem... W oczach, w głowie, w uśmiechu tego człowieka, było coś takiego, czego sobie wytłomaczyć nie umiem, co jednakże nakazuje nie przyjmować jego dobrodziejstwa...

— Dziecko jesteś!... W oczach, w głosie, w uśmiechu Armulpha było to, że on, po wyjściu żałoby, ma zamiar o twoją oświadczyć się rękę...

— Ach! mamo!... zawołała Lucyna głosem rozpaczą nabrzmiałym.

— Nie bądź-że dzieckiem... Powinnaś dziękować Bogu za to. że w nieszczęściu zsyła na nas szczęście... Gdybyś nawet była bogatą, to taka partja nie byłaby do pogardzenia...

— Ach mamo!... była powtórna Lucyny odpowiedź.

Więcej nie mogła mówić. Myśl, rzucona przez macochę, wydała się jéj świętokradztwem w obec uroczystości smutku. I to świętokradztwo po-

pełnionem zostało przez kobietę, która jéj zastępowała matkę. Uczuła w piersi niby pęknięcie serca. Przestała płakać i oniemiała, i w milczeniu słuchała długiéj macoszynéj przemowy, dowodzącéj, że panna w ośmnastym roku życia powinna już patrzeć na życie serjo i o własnéj myśleć przyszłości.

— Tem bardziéj, mówiła, że masz obowiązek podwójny: względem siebie saméj i... trochę... względem mnie. Jeżeli zrobisz los (wyrażenie techniczne), to będziesz miała możność naprawić ciężką krzywdę, jaką twój ojciec wyrządził mnie. W twojem ręku spoczywa zabezpieczenie mego bytu. Od ciebie zależy uratowanie mnie od nędzy. Spodziewam się więc, że przez pamięć na ojca, będziesz dla Armulpha grzeczną o tyle, ażeby on, najprzód nie żałował tego, co dla nas zrobił; następnie, nie nabrał wstrętu do ofiarowania ci po roku swojéj ręki. To partja świetna. Człowiek bogaty i uczciwy, i przytem wdowiec, mający dzieci i nie młodzik... Los własny, zabezpieczający byt twój i mój, masz w ręku: zechcij go tylko nie wypuścić...

Długo jeszcze mówiła na jeden i ten sam temat i, opierając się na tem że „milczenie jest znakiem przyzwolenia,” miałaby prawo utrzymywać, że przekonała pasierbicę. Bo Lucyna milczała. Milczała wszakże nie dla tego, że nie mia-

ła co odpowiedzieć, ale dla tego, że mowę odbierało jéj uczucie wstydu dziewiczego, które wstrętnem jéj czyniło rozprawianie o korzyściach bogatego zamężcia, w chwili, gdy jeszcze nie uleżała się ziemia, nasypana na wieko ojcowskiéj trumny. W innéj chwili byłaby zapewne coś odpowiedziała. W téj nie czuła w sobie odwagi do odemknięcia ust — nie czuła w sobie odwagi w obawie, że to co by powiedziała nie byłoby dość silnem i przekonywającem. Nie ufała własnemu rozumowi i własnéj wymowie. Byłaby za to dała pół życia, więcéj może, gdyby ktoś za nią macosze odpowiedział—ktoś taki co by odpowiedzieć umiał — ktoś...

Ten ktoś, ten jéj adwokat-obrońca — stał jéj w oczach. Gdy pani Julja wspomniała o Armulphie, jako o starającem się o jéj rękę, natychmiast postać owego ktosia wyskoczyła z pod ziemi, czy spłynęła z powietrza i stanęła przed nią promienista, przejrzysta, jakąś niby świętością naznaczona. Wpatrzyła się w nią Lucyna. Wyrazy macochy brzmiały w jéj uszach niezrozumiale. Głuszył je jeden wyraz, który ona niegdyś, pierwszy i jedyny raz w życiu, usłyszała. Wówczas tak się tego wyrazu była zlękła. A teraz? — widziała w nim puklerz przeciwko Armulphowi i jemu podobnym, deskę zbawienia, na któréj spodziewała się wypłynąć, gdyby jéj za-

groziło utonięcie, ów słup dymiący w dzień, płomieniejący w nocy, który jak niegdyś służył żydom w pustyni, tak dziś jéj miał służyć za przewodnika.

VIII.

Domek w którym zamieszkała Lucyna z macochą, leżał pod górą na odległem przedmieściu, wsunięty głęboko w oparkaniony gęsto podwórzec, otoczony ogrodem pełnym cienia i zieloności, słowików i kwiecia na wiosnę, owoców w jesieni. Była to willa, nie z tych wprawdzie rozkosznych, i wykwintnych, w których biją wodotryski, szumią wodospady i ułożone wielkim kosztem rękami ludzkiemi kamienie na kamieniach udają naturalne groty, lecz cicha, wygodna, odosobniona, oddalona od gwaru i ruchu miejskiego i jakby umyślnie przeznaczona na ciche i smutne rozmyślanie.

Schronienie w tym domku było trafnie obmyślanem. Odsunięcie się od wielkiego świata było konieczną potrzebą dla kobiet, które na tym

świecie tak niedawno błyszczały i wyszły z niego furtką, którą im otworzyła ręka miłosierdzia. Chociaż bowiem to miłosierdzie pani Julja tłomaczyła sobie jako zasługiwanie się kawalera, jako rodzaj szarmanterji, pokrewny temu, który każe dla panien na wydaniu kupować bukiety, cukierki, pomarańcze i lody—wszelako, ponieważ tu miejsce bukietów, cukierków, pomarańcz i lodów zajmowały dach nad głową, odzież i chleb powszedni, przeto miało to taką minę, iż każdy miał prawo powiedzieć:

— Ta pani i ta panna, żyją na łasce pana Armulpha...

A jest tysiące sposobów wypowiedzenia tych słodkich wyrazów; sposobów, do których niekoniecznie potrzebnemi są organa ludzkiéj mowy, t. j. gardło, język, podniebienie, zęby i usta. Można powiedzieć, nie wymówiwszy, ani jednego wyrazu, nie wydawszy wcale głosu. Można powiedzieć oczami, czołem, nosem, uśmiechem, ramionami, rękami, nogami, grzbietem, akcentem ruchów, wyrazem całéj postaci, kombinacją w ułożeniu różnych członków. Dla uniknienia przeto spotykania się z tego rodzaju duserami, nasze panie oddaliły się od świata. U nikogo nie bywały, nikt nie bywał u nich, wyjąwszy dwóch mężczyzn i jednéj damy: Armulpha który je odwiedzał regularnie dwa razy na tydzień, Wi-

talisa Jagniewicza, który je odwiedzał regularnie raz na dwa tygodnie i pani Praweckiéj, która przyjeżdżała prawie codziennie zawsze karetą bankiera.

Te odwiedziny inne na jedną, inne na drugą kobietę wywierały wrażenie. Pani Julja była im niezmiernie radą; Lucynie sprawiały one wielką przykrość; przez wzgląd jednakże na macochę musiała, jak mówią Francuzi, „*faire bonne mine à mauvais jeu*,” być grzeczną dla panów, uprzejmą dla pani i udawać w ich obecności ukontentowanie. Była więc grzeczną, uprzejmą i ukontentowaną. Bankierowi dotrzymywała w rozmowach o *hauser* i *baisse*, które stanowiły mocną stronę jego wiadomości, o sztukach nadobnych, których on wyznawał się miłośnikiem, o literaturze, którą udawał, że proteguje, dla tego że dla kursów pieniężnych był stałym prenumeratorem jednego z krajowych i dwóch zagranicznych pism, o filozofji, filologji, nawet etymologji. Naprzykład: utrzymywał, że polskie „kochać” pochodzi od niemieckiego „*kochen*,” polskie „szerce” (serce) od niemieckiego „*scherzen*.” Utrzymywał to na serjo.

— Bo, proszę pani, powiadał, człowiek gdy kocha, to czyż w nim się wszystko nie gotuje? a z tego gotowania wychodzi najczęściéj „*scherz*;” dla czego? dla tego, że całe kochanie odbywa się

w żarcie, to jest w szercu, co się pokazuje zazwyczaj, gdy przeminie. Człowiek póki kocha, to się w nim gotuje, a gdy kochać przestanie, żartuje...

Pani Julja znajdywała ten wywód arcydowcipnym, sam zaś Armulph upatrywał w nim genialność, która była by go daleko na drodze badań naukowych zaprowadziła, gdyby się im był zechciał oddać.

— Ja tak, od niechcenia, w chwili wolnéj, zamyszlę się i zawsze coś wymyszlę... Ot, naprzykład: wyraz „myszlę," jak pani się zdaje? od czego on pochodzi?...

Pani Julja, ani panna Lucyna nie umiały odpowiedzieć na pytanie.

— Od wyrazu „mysz..." Człowiek gdy myszli, to jemu w głowie tak się robi, jakby po mózgu mysz biegała...

Opuszczając panie zawsze oświadczał, że w ich towarzystwie czas nader przyjemnie mu upływa i że, gdyby nie ważne zajęcia, nie opuszczał by tego towarzystwa wcale.

Raz na dwa tygodnie odwiedzający Jagniewicz nie był tak rozmownym. Przychodził starannie ubrany i rozpowiadał ostanie temperatury, jakim był i jakim być może. A wygadawszy wszystko, co w téj mierze było do powiedzenia, kłaniał się i odchodził. W jego wizytach ude-

rzała ścisła systematyczność. O jednéj i téj samej porze, co do minuty, przychodził, w jednem i tem samem miejscu, na ganku buty z kurzu otrzepywał, w jednem i tem samem miejscu w sieniach kapelusz zdejmował, rękawiczkę z lewéj ręki ściągał, włosy i kołnierzyk poprawiał, kamizelkę pociągał, chrząkał, pukał do drzwi i wchodził. Bez pukania byłby nie wszedł, bez chrząknięcia byłby nie zapukał, bez pociągnięcia kamizelki, byłby nie chrząknął. Wszystko u niego iść musiało w porządku, zimno, sztywnie, niezmiennie. Opuszczając nasze panie zawsze oświadczał, że w ich towarzystwie czas nader przyjemnie mu upływa i że, gdyby nie ważne zajęcia, nie opuszczał by tego towarzystwa wcale.

Pani Prawecka—zapomniałem o tem we właściwem powiedzieć miejscu, była rodzoną pana Witalisa siostrą. Odwiedziny jéj najwięcéj miały sensu. Była to żywa gazeta brukowych wiadomości, wiedziała o wszystkiem, co w mieście zaszło, a nawet, co zajść miało i umiała o tem opowiedzieć ze szczegółami i komentarzami. A była taką przyjacielską, taką wylaną, taką serdeczną, że nawet z własnych domowych tajemnic sekretu nie robiła—cóż dopiero z tajemnic bliźnich!... Bywając często, miała sposobność opowiadać o wszystkiem i o wszystkich. Ogadała wszystkich z wyjątkiem dwóch ludzi: Armulpha

i swego brata. Ci dwaj ludzie byli, według niéj, doskonałymi pod wszelakim względem. Rozum, honor, cnota—nikt tego w wyższym stopniu nie posiadał, ani posiadać mógł. Przytem Armulph odznaczał się hojnością i wspaniałomyślnością. Jagniewicz wyrozumiałością.

— Nie uwierzycie, kochane panie — mówiła o bankierze, jak ten człowiek pieniędzmi handlujący, jest rozrzutnym. Niczem jest dla niego, na coś, co mu się podoba, wydać kilka, kilkanaście tysięcy. Warto, żebyście były w jego domu. Co tam za przepych! jakie meble! jakie kosztowne malowidła!... Malowideł wielkim jest amatorem...

— Nie uwierzycie, kochane panie — mówiła o bracie, co to za dobry człowiek! jaki pobłażliwy!... Szczęśliwa będzie kobieta, która jego żoną zostanie...

Ostatnie wyrazy były widocznie wypowiadane pod adresem Lucyny. Lecz pani Julja puszczała je mimo uszów, będąc tego głębokiego przekonania, że Armulph czeka tylko na zakończenie żałoby, ażeby się formalnie o rękę Lucyny oświadczyć. Opierała przekonanie to na tem, że nieformalne oświadczyny powtarzały się za każdą niemal jego bytnością. Zresztą, czyż trzeba było wyraźniejszych oświadczyn, jak całe jego postępowanie? Bywał, do Lucyny się przysiadał,

z nią najchętniéj rozmowy toczył i nieustannie ją wyzywał, ażeby objawiła swój gust, w wyraźnym celu obdarzania jéj. Lecz wyzywanie jego za nadto było niezgrabnem. Lucyna umiała tę drażliwą kwestję tak zręcznie wymijać, tak umiała trzymać go w przyzwoitem oddaleniu, że potrafiła nie dostać od niego najmniejszego prezentu. Nagabywana przez bankiera, co lubi, powiadała, naprzykład, że lubi śpiew słowika, albo promienienie gwiazd.

— Pani, bo lubi takie rzeczy, mówił p. Armulph niecierpliwie, których nie można kupić...

— O, bo też przedmiotów kupowanych nie cierpię... odcinała dobitnie...

— Dziwne pani ma gusta... Gdyby wszyscy ludzie byli jak pani, to do czegoż by służyły pieniądze!...

Raz wymówiła się niechcący, że lubi malowidła. Bankierowi oczy radością zapromieniły.

— O!... zawołał, jednakowe mamy gusta... I ja passjami lubię malowidła... U mnie wszystkie ściany malowidłami zawieszone... Trzeba, żeby je pani widziała... Nie chwaląc się, mam wybór, same arcydzieła...

I natychmiast zwrócił się do pani Julji z propozycją zwiedzenia jego zbioru. Pani Julja wymawiała się tem, że, odsunąwszy się od świata,

doznałaby nie małéj przykrości, gdyby w jego domu zeszła się z kim z dawnych znajomych.

— Niech się pani nie lęka, podchwycił bankier. Wprawdzie u mnie dużo bywa ludzi, ale w czasie bytności pań, nie będzie nikogo...

Umówili się przeto o dzień i godzinę i w oznaczonym czasie nasze panie, w karecie bankiera, przewiozły się do jego pomieszkania.

Pomieszkania tego nie będę szczegółowo opisywał. Było w niem dużo kosztowności i mnóstwo pozłoty. Wszystko się świeciło i na wszystkiem znać było palec dekoratora, który za sutę zapłatę gruppował sprzęty, zawieszał ozdoby, słowem, stworzył harmonję wewnętrznego urządzenia, trzymającego środek pomiędzy hotelowym komfortem, a pałacowym przepychem.

Gości swoich przyjął pan Armulph z całą elegancją i wielką uprzejmością.

— Jakżem szczęśliwy, że panie raczyły do mnie zawitać!... Dzień ten zaliczę do najpiękniejszych w mojem życiu...

Lucyna, usiadłszy natychmiast powiodła okiem po ścianach. Armulph podchwycił jéj rzut oka.

— Pani od razu zwraca uwagę na to co lubi... I ja tak samo... To moja natura... Gdy tylko gdzie przybywam, zaraz się p atrzę na ściany...

Lucyna odwróciła oczy.

— Niech się pani nie żenuje... I owszem, proszę patrzeć... W tym salonie mam piękne malowidła... Niech się pani zbliży...

Zerwał się i począł oprowadzać panie, cziczeronując. Poprowadził je najprzód do wielkiego, w wielkiem świetle umieszczonego obrazu. Misterne, szerokie, grubo złocone, brązowe ramy przyczyniały się do wielkości.

— Poznają panie tego człowieka?... zapytał.

— To pański portret... odparła pani Julja.

— A co!... zawołał z dumą. Jakże malowidło?...

— Podobieństwo rysów wielkie... rzekła Lucyna.

— Nie tylko podobieństwo, ale co za sztuczna robota!... Gdziekolwiek stanąć, czy wprost, czy z prawéj strony, czy z lewéj, wszędzie on się patrzy... Co to za robota! Zapłaciłem za ten obraz trzysta pięćdziesiąt dukatów brzęczącą monetą...

Ostatnie wyrazy wymówił z przyciskiem i, wymówiwszy je, spojrzał kolejno w oczy, najprzód Lucynie, potem pani Julji. Lucyna przyjęła to powiedzenie obojętnie, pani Julja okazała podziw, a on się napuszył i do następnego przeszedł obrazu.

Obraz ten, było to malowidło, którego znaczenia odgadnięcie, należało do bardzo trudnych zadań. Właściwie bowiem nie było na nim nic innego, tylko obłoki, a pod obłokami czerwony zfalowany smug. W głębi, w dalekiéj perspektywie, mgłą zasłonięte, przedstawiały się niby chmury, niby góry, niby skały i palmowe drzewa. I więcéj nic. Człowieka, ani żyjącego stworzenia, ani śladu.

— Cóż?... jakże malowidło?... zapytał tonem domagającym się pochwały.

Cóż było do powiedzenia? Lucyna milczała, pani Julja rzekła pośpiesznie:

— Piękne...

— Cóż to jest?... zapytał powtórnie.

Odpowiedź na to drugie pytanie była czystem niepodobieństwem. Sfinks mógłby śmiało, nie łamiąc sobie głowy nad tworzeniem zagadnień, pokazywać przechodniom ten obraz i zadawać im to pytanie. Byłby go i sam Edyp nie pokonał. Nic przeto dziwnego, że nasze panie odpowiedziały milczeniem, któremu towarzyszyło wpatrzenie się w malowidło, wpatrzenie się zwykłe, gdy umysł pracuje nad znalezieniem odpowiedzi.

Bankier snadź to wpatrzenie się wziął w znaczeniu niemego zachwytu, bo i sam milczał, a wyczekawszy parę minut, odpowiedział na postawione przez siebie zapytanie:

— To Faraon, ścigający Żydów...

— Gdzież Faraon? gdzież Żydzi?... wyrwało się Lucynie niechcący.

— Żydzi przeszli, a Faraon z wojskiem się utopił... To Czerwone morze... Faraon jest tu, w morzu... tłomaczył, palcem pokazując, — a żydzi tam, już ich nie widać... To obraz czysto historyczny... Pomysł, szwietny...

Przy ostatnich wyrazach, gdy je wymawiał, warto było na Armulpha popatrzeć. Usiłował być skromnym, lecz duma, a raczéj wewnętrzne zadowolnienie wydzierało się przemocą przez oczy, policzki i usta, i to tem bardziéj, że na ustach Lucyny spostrzegł uśmiech, a w oczach pani Julji zapewne udany zachwyt.

— Pomysł szwietny... powtórzył dobitnie i dodał, powściągając całemi siłami wybuch samozadowolnienia:

— Mój... własny...

Po wyrzuceniu ostatnich wyrazów, odetchnął, jakby mu ciężar spadł z serca i zaczął mówić swobodniéj, nadając mówieniu akcent lekceważenia.

— Kosztuje mnie nie drogo, tylko dwieszcie talarów, a to dla tego, że malarz był tylko wykonawcą mojéj myszli. Ale bym go nie oddał i za dwa tysiące... Bo, co to za malowidło! co za koloryt! co za perspektywa!... Niech no pa-

nie staną tu i popatrzą się, wyprowadził gości na środek salonu — na te bałwany na Czerwonem morzu... Akuratna woda, tylko czerwona.... Widać jak się przelewa i pieni, a w niéj widać Egipcjan, a tam daléj widać Żydów... Co to za prawda w tym obrazie!... prawda historyczna!... Ci przeszli, ci się utopili, a morze szumi... Słychać szum bałwanów...

Przechylał głowę na prawo, to na lewo, przypatrywał się i ucha nastawiał. Pani Julja powtarzała:

— Prawda... prawda...

Lucyna milczała.

— Panno Lucyno! zawołał, pani nie podziwia!...

— Przeciwnie, odrzekła zagabnięta, podziwiam i obraz i pana. Chciałabym w téj chwili być malarzem, ażeby módz zrobić pański portret...

— Mój portret!... podchwycił, widzi pani, jednéj jesteśmy myszli... I ja chcę mój portret kazać zrobić... I właśnie mamy teraz znakomitego malarza, chociaż i inne portrety malowali sami znakomici... Pokażę je paniom... Służę...

I pomijając inne obrazy, pomiędzy którymi większość odznaczała się tem głównie, co to nazywa się wylizaniem, poprowadził nasze panie do drugiego salonu, w którym na najwidniejszem

miejscu wisiało trzy jego portrety: jeden w górze, dwa niżéj trochę po obydwóch stronach pierwszego. W tymże samym pokoju, na przeciwległéj ścianie, wisiał jeszcze jeden.

— A co!... powtarzał, zwracając uwagę pań kolejno na każdy z osobna. Jakże pendzel?...

— Znakomity... odpowiadała pani Julja.

— Ja się na tem znam... i nie żałuję pieniędzy... Za ten zapłaciłem sto dukatów, za ten sto sześćdziesiąt pięć, a za ten okrągłe dwieszcie... to jest, wszystkie razem, które są w tym salonie, du-ka-tów pięć-set siedm-dzie-siąt i pięć...

Zgłoskując ostatnią cyfrę, kiwał palcem dla dobitności.

— Ale pokażę ja paniom jeszcze coś...

I pomijając inne obrazy, przeszedł do następnego pokoju i zatrzymał się znów przed swoim portretem.

— A co!... rzekł. Za ten zapłaciłem dwieszcie piętnaście dukatów...

— Ale pokażę paniom jeszcze coś...

Przeszedł do swojéj sypialni i pokazał nad łóżkiem zawieszony, znów swój protret, przedstawiający go w całéj postaci naturalnéj wielkości.

— Ten kosztuje mnie najdrożéj... Zapłaciłem za niego trzysta ośmdziesiąt siedm duka-

tów... Ależ bo to i malowidło!.. Nu nu... i cmoknął.

Rzeczywiście było to malowidło bardzo dobre. Widocznie Armulph starał się dla swoich portretów o dobre pendzle, czego o innych obrazach nie można było powiedzieć. Była to zbieranina na chybił trafił, nie dowodząca, ani znajomości, ani gustu. Do tej jednakże zbieraniny przybłąkało się kilka obrazów, z których jeden, małych rozmiarów, umieszczony w cieniu, zwrócił na siebie uwagę Lucyny. Wyobrażał on dziewczynę wiejską, powracającą od studni z pełnemi wiadrami. Obrazek czysto sielski, pełen smętności i prawdy. Źródło biło z pod wierzby, a pod wierzbą stał parobek. Ugięta pod ciężarem dziewczyna, szła, oglądając się. Nabrała wody, lecz przerwała snadź rozmowę, do której ją ciągnęło. Ścieżka prowadziła pod płotem, obrosłym pokrzywą i ustrojonym w szerokie liście dyń. W dali widać było kilka słomianych strzech wioski i trzy krzyże cerkiewne. Całość dyszała prostotą i swojskością, i odznaczała się doskonałością pendzla wprawnego i śmiałego. Ten mały obrazek łączył w sobie głębokość Salvatora Rosy z naturalnością Murilla. Cały pejzaż, mimo, iż w nim nie było dzikości, był salvatorskim. Wpatrując się w niego, odkrywała się cała głębia świata wioskowego, cała nagość romansu siel-

skiego, podchwyconego przez malarza przy studni. Ta nagość była Murillowską.

— To tak sobie... rzekł Armulph kiwnąwszy pogardliwie ręką, do Lucyny, która, w powrocie przez salony od ostatniego portretu, zatrzymała się przed małym obrazkiem — bagatela... Kupiłem to nie dawno za pięć dukatów...

— Czyj to utwór?... zapytała Lucyna.

Armulph coś odpowiedział, lecz ona nie słyszała. W chwili bowiem zapytania postrzegła litery, w rogu obrazka wśród pokrzyw umieszczone, litery które całą jéj pochłonęły uwagę. Litery te: *P. Grz.*, niezgrabnie i kulasowato napisane, były odpowiedzią. Za ich sprawą, z obrazka tego przemówiła do niéj siostrzana dusza artysty. Pierś Lucyny podniosła się westchnieniem. Zrobiło się jéj rzewno. Przypomniała sobie „kocham,” na rogu ulicy wymówione.

Armulph zaś opowiadał pani Julji o jakimś obrazie, nad którym właśnie pracuje znakomity malarz i często wymawiał nazwisko księcia.

— Ja i książe, mówił, będziemy się o ten obraz współubiegali. A gdzie o współubieganie się chodzi, tam żaden książe Armulpha nie przesadzi. Choćby miało mnie kosztować tysiące, kupię... a to tem bardziéj, że ten obraz pań się tyczy...

Lucyna zwróciła uwagę na mówienie bankiera.

— Będzie na nim i pani, ciągnął, pochylając głowę ku pani Julji — i pani, mówił ukazując na Lucynę — i jeszcze ktoś i zapewne ja... Chciałbym tylko rozmówić się z artystą o ugruppowanie osób... Chciałbym mu podać myszl...

Powiedzenie to do najwyższego stopnia zaciekawiło i panią Julję i Lucynę.

— Co to za artysta? co za obraz?...

Lecz pierwszego nazwać nie umiał, o drugim mówić nie chciał. Mówił tylko o księciu, który, jak twierdził:

— Chciałby artystę na swój wyłączny zachować użytek...To tylko szczęście, że jest oszczędnym i nie ma zwyczaju kupować skórę na niedźwiedziu... Zresztą nie jest on, ani takim amatorem, ani takim znawcą, jak ja... Cóż? jakże paniom podobają się moje portrety?...

— Piękne są... odpowiedziała pani Julja.

— Który-ż najlepszy?...

— Prawdziwie, trudno orzec... Pan sam najlepiéj tę kwestję rozstrzygnąć możesz...

— Mojem zdaniem, najlepszym jest ten za trzysta pięćdziesiąt dukatów... A dla tego, że jest najlepszym, więc go ofiaruję paniom...

Obie panie mimowolnie wydały okrzyk podziwienia.

— Pan się pozbawia takiego pięknego malowidła... rzekła pani Julja.

— Pan się pozbawia takiéj drogiéj rzeczy... rzekła Lucyna.

— Pozbawiam się, to prawda, ale dla pań, więc się nie pozbawiam... A im jest droższą, tem większéj doznaję przyjemności, ofiarując ją paniom...

— Popsuje się harmonja na ścianie, gdzie ten obraz wisiał... podchwyciła Lucyna. Powstanie ztąd próżnia...

— Zapełnię ją tymczasowie portretem Napoleona III, a gdy ten znakomity malarz wymaluje mój portret, Napoleona każę zdjąć, a powieszę mój...

Nie było rady. Trzeba było prezent przyjąć. Pani Julja odjechała do domu, pełna najświetniejszych nadziei. Lucyna była rozmarzoną. Myśl jéj zapełnił ów obrazek z podpisem: *P. Grz.*

IX.

Podczas, kiedy panie nasze, zasypywane grzecznościami Armulpha, wiodły żywot z dziś na jutro; kiedy pani Julja kołysała się świetnemi nadziejami, a dla Lucyny te nadzieje były pewnym

rodzajem zmory, męczącéj ją na jawie.—Prospera żywot upływał w gorączce, rozciągany niby na torturach. Sztuka ciągnęła go do siebie, miłość do siebie, a pomiędzy sztukę i miłość wlazły kłopoty codziennego życia, ściągające go z artystycznéj i miłosnéj wysokości na padół różnych dolegliwości, pomiędzy któremi najdotkliwszem było zajście z panią Pawłową. Spadło ono na naszego artystę, niby piorun z nieba bez chmury. Spadło, wcielone w jeden, krótki, jednozgłoskowy wyraz:

— Płać!...

Tryb rozkazujący tego niemiłego czasownika, popartym był rodzajem *ultimatum*, postawionego w najbardziéj, jak tylko wyobrazić sobie można, nagiéj formie:

— Płać pan, albo się wynoś!..

— Moja pani Pawłowa, odparł Prosper, skrzyżowując ręce na piersiach dla nadania snadź sobie powagi, nie mogę zrobić, ani jednego, ani drugiego...

— Czemu nie!... odrzekła nieubłagana egzekutorka. Jeżeli nie możesz zapłacić, to możesz się wynieść...

— Dokąd?...

— Na ulicę...

— Nie wygodne mieszkanie...

— Kto nie ma pieniędzy, temu nie myśleć o wygodach...

— Zapłacę...

— I owszem... Ja po to właśnie przyszłam, ażeby panu przypomnieć...

— Dziękuję kochanéj pani Pawłowéj serdecznie; proszę się jednakże nie fatygować. Ja sam odniosę pieniądze...

— Kiedy?...

— Jak będę miał...

— Stara piosneczka. Śpiewają ją wszyscy, co pieniędzy nie mają...

— Spodziewam się mieć...

— Któż się nie spodziewa!...

— Więc cóż?... Więc pani Pawłowa, która była dla mnie zawsze taką dobrą...

Chce mnie teraz po prostu wyrzucić?..

— Oj, panie, panie, podchwyciła pani Pawłowa ze wzruszeniem i westchnieniem, gdyby to odemnie zależało, to bym pana nie wyrzucała...

W czasie téj rozmowy, w sieniach stał człowiek niewielkiego wzrostu, nie młody, szczupły, rysów twarzy ruchliwych i wyrazistych, ubrany nie według ostatniéj mody, ale czysto i z pewną elegancją. Stał i przez otwarte drzwi łowił uchem każdy wyraz, wychodzący z ust rozmawiających. Siwe jego oczy, z wyrazem badawczym biegały po wnętrzu pracowni Prospera.

— Domyśliłem się ja, rzekł ten ostatni, że pani Pawłowa nie sama z siebie robi mi taką miłą propozycję... Cóż jednakże zyska właściciel, jeżeli mnie wyrzuci?... Kto tę izbę weźmie?...

— Nie troszcz się pan o to... Jest już taki i nie jeden, co chce wziąść... Trafia się gospodarstwo porządne i czyste, choć z dziećmi... U nich będzie nie tylko zamieciono, ale i wykadzono. Nie ścierpią oni pyłku, muszki, pchełki...

Ostatni wyraz wywołał drgnięcie w ciele człowieka słuchającego w sieniach. Oczy jego zamigotały, chrząknął, próg przeskoczył, i nie dając czasu opamiętać się Prosperowi, którego zdziwiło niespodziane jakiejś nieznanéj figury wejście, rzekł do pani Pawłowéj łamaną z niemiecka polszczyzną:

— Biorę na siebie zastąpienie tego pana w zapłaceniu czynszu...

— Panie!... przerwał Prosper. Co to znaczy! Kto pan?...

— To pan Professor... podchwyciła pani Pawłowa, pokazując ręką na drzwi z przeciwka z nadpisem „akademja pchieł,” ten pan, co edukuje pchły...

— Nie znaliśmy się, odezwał się Profesor. Mimo to wysoko pana ceniłem i cenię... za spokój, z jakim się pan zachowywałeś. Taki sąsiad jest dla mnie nieoszacowanym. Dla mnie

spokój jest warunkiem bytu i powodzenia. Gdybym pomieszkanie najmował osobno, spokój osobno, to jeszcze i tak dobrze bym na tem wyszedł. Lecz ja zaproponować chcę panu rzecz dla mnie wygodniejszą. Pożyczę panu, a za procenta zapewnisz mi pan spokój...

Domawiając ostatnich wyrazów, z szybkością rzucił ręką ku karkowi Prospera, dotknął się go leciuteńko i miał już pchłę w palcach. Podszedł z nią ku oknu i począł się przypatrywać, najprzód gołemi oczami, potem przez lupę. Kiwał głową, marszczył brwi, uśmiechał się i coś do siebie po cichu mówił. Trwało to przez parę minut, po upływie których rzekł do przypatrującego się mu w milczeniu i z zajęciem Prospera:

— Cóż więc? przystajesz pan? Wypożyczę panu kwotę potrzebną na zapłacenie czynszu, a za to będę miał pewność, że nikt tylko pan w tem mieszkaniu pozostanie.

— Przystaje... to się rozumie... podchwyciła pani Pawłowa. Któżby na coś podobnego nie przystał!...

Prosper ścisnął ramionami.

— Gdyby pan odemnie pchły sobie zabrał, to jeszcze bym pięknie podziękowała... dodała w dobrym humorze.

Professor skrzywił się z niesmakiem i odpowiedział:

— Nie wszystkie jednakowéj są kwalifikacji... Są zdolne i mniéj zdolne... Zależy to od rodzaju pokarmu, jaki przyjmują, który. działając fizjologicznie na ich organizm fizyczny, wywiera wpływ i na organizm moralny... Pomiędzy organizmem pchły, a organizmem człowieka, ścisły zachodzi związek... Intelligencja wytwarza intelligencję... Z tego powodu, pchły pani nie zdały by mi się na nic, wówczas gdy wychodowane na artystycznym gruncie, wysoką mają wartość...

Pani Pawłowa, ani trochę nie zrozumiała tego co professor powiedział. Wyrazy „kwalifiikacja, fizjologicznie, organizm fizyczny, organizm moralny, intelligencja, artystyczny" brzmiały dziko w jéj uchu. Pojęła tylko, iż jéj pchły nie zdały się na nic. Więc odparła:

— Mniejsza o to... To już ja i sama dam sobie z mojemi radę, a pan płać za tego pana...

— Natychmiast, tylko...

— Za pozwoleniem, podchwycił Prosper, przecież ja nic jeszcze nie powiedziałem, czy przyjmuję, czy nie...

— Ot jeszcze czego nie stało!... odezwała się pani Pawłowa. To jakże nie przyjąć!...

— Dobrodziejstwo jakie mi pan wyświadczasz nie jest w stosunku do warunku pod jakim mi pieniądze pożyczasz... Mnie dajesz pan za wiele, ja daję panu za mało... Warunek pański jest dla mnie nazbyt dogodnym...

— Oto dureń!... rzekła na stronie pani Pawłowa. Gotów nie przyjąć...

— Niech pan nie myśli, odparł Prosperowi professor, ażeby warunek mój był nazbyt dogodnym... Wyjaśnię go panu... W dodatku do spokoju, wszystkie pchły pańskie do mnie wyłącznie należą, to znaczy: że pan uroczyście zobowiązać się musisz, nie zabić żadnéj...

— Nie zabić żadnéj!.. zawołała pani Pawłowa. Nie zabić żadnéj!.. O!... to co innego... Tego warunku za nic bym nie przyjęła... O!... to ciężki warunek... Ja się tak przyzwyczaiłam do kawy rano i do łapania pcheł wieczorem, że bez tych dwóch rzeczy wyżyć bym nie mogła...

— Ten warunek jest nieodzownym, ciągnął professor. Bez uczynienia jemu zadość, niepowetowane ponosiłbym straty... Proszę bowiem to wziąść na uwagę, że na tysiąc pcheł zaledwie jedno *subiectum* przydać się może do nauki... Jeżelibyś przeto pan wyniszczał te właśnie *subiecta*, ileż by to mojéj pracy poszło daremnie!... Dla tego musisz się pan zobowiązać, ani jednéj pchły nie zamordować... Nastaję na to tem usilniéj,

że rozpatrzony przezemnie egzemplarz zadowolnił mnie tak pod względem rassy, jako też pod względem oznak, po których doświadczenie nauczyło mnie pojętność poznawać...

Prosper ścisnął ramionami i odrzekł:

— Cóż robić!... przystaję... pomimo, że i po wyjaśnieniu, warunki pańskie nie wydają się mi uciążliwemi, a to dla tego, że nie mam względem biednych tych stworzeń morderczych popędów... Rzecz cała wydaje się mi arcy oryginalną i komiczną...

— Przystajesz pan?... zapytał uradowany professor.

— Przystaję...

— Umowa zawarta?...

— Pod słowem honoru?...

— Pod słowem...

Podał rękę Prosperowi. Złączyli dłonie. Pani Pawłowa przebiła. I professor natychmiast wydobył sakiewkę i wyliczył należność, po odebraniu której pani Pawłowa się wyniosła, oświadczając Prosperowi, że na trzy miesiące zostawia go w spokoju.

Trzy miesiące mieć przed sobą—dla człowieka jak Prosper, to wiek. Radowały go one więcéj, aniżeli kogo innego zapewnienie przyszłości całego życia.

— Trzy miesiące!... zawołał, gdy pozostał sam na sam z professorem. Niezmierne mi pan wyświadczyłeś dobrodziejstwo.

— Nie dobrodziejstwo... poprawił professor. Zrobiłem dogodność panu, pan zrobiłeś dogodność mnie, więc między nami kwita...

Prosperowi ta dogodność wydawała się tak krzywdzącą professora, że ten musiał się wdać w szczegółowe objaśnienia, a objaśniając, zeszedł niechcący na opowiadanie dziejów własnego żywota. W dziejach tych najciekawszem było to, jakim sposobem wykierował się na professora pcheł.

Nie jeden może z czytelników zna tę postać z widzenia. Pojawiała się ona niegdyś na kijowskich kontraktach, na jarmarkach w Berdyczowie, w Jarmolińcach, w Bałcie, na Piotra i Pawła w Humaniu i w innych miejscach przy okazji tłumnych zjazdów. Opowiadano o niéj, a właściwie o jéj elewach, cuda. Nic przeto dziwnego, że zainteressowała ona Prospera, że rozbudziła jego ciekawość do tego stopnia, iż zasypał ją pytaniami, podobnemi do następującego:

— Od kiedyż pan się oddał temu zajęciu?...

Professor podniósł głowę, zamyślił się i odpowiedział:

— Od piętnastu lat... Od czasu jak *ona* za mąż poszła...

— Co za ona?...

— A!... machnął ręką i westchnął — pewna „ona,” z któréj powodu przestałem być professorem ludzi, a zostałem professorem pcheł...

— Więc dawniéj uczyłeś pan ludzi?...

— Uczyłem... Uczyłem i ją i przy niéj nauczyłem się tego co w niebo wznosi i w piekło spycha....

— Czego?.. pchły łapać?..

— Nie... kochać...

Wyraz ten wymówił takim tonem, że Prosper, który był w drwiącem usposobieniu, został poruszonym. Powściągnął uśmiech i z pewnem uszanowaniem słuchał następującego opowiadania:

— Byłem nauczycielem muzyki i śpiewu. Moje granie i śpiewanie miały w swoim czasie nie mało wziętości; moje kompozycje dość jeszcze zdobią okna wystaw, w których muzykaljami handlują; moje koncerta ściągały liczną publiczność, która okrywała mnie brawami i oklaskami... Czułem w sobie święty ogień sztuki. Dusza moja pełną była tonów, niby harfa Eola. A gdym te tony w harmonijną układał całość i ludziom w słuchy rzucał, ludzie się zachwycali. Byłem na szerokim gościńcu artystycznéj sławy.

— Czemużeś nim daléj, do końca nie poszedł?... zapytał żywo Prosper do głębi wzruszony.

— Czemu? bom się zakochał... Ona zepchnęła mnie z drogi artyzmu i wepchnęła pomiędzy pchły....

— Prosperowi wisiało na języku zapytanie: jakże to było? lecz professor mówił daléj:

— Gdym ją poznał, zbliżył się do niéj i pokochał, straciłem natchnienie. Tony z duszy uleciały, a ich miejsce zajęła ona. Dawałem jéj lekcje muzyki i śpiewu. Jéj granie i śpiewanie wydawało się mi miljonkroć razy piękniejszém, niż moje. Przy fortepianie siedząc obok niéj, wsłuchiwałem się w nie i wpatrywałem się w nią i nie śmiałem jéj poprawiać, chociaż nie raz fałszywie wzięta nuta w uchu mi zgrzytnęła; nie śmiałem wyznać jéj miłości, chociaż ona do wyznania zachęcała. Bo, przekonany jestem, że ona mnie kochała...

Tu zamilkł i westchnął.

— Ale do wyznania nie przyszło. Zamiast usłyszeć z jéj ust „kocham,” usłyszałem, że za mąż idzie... Och!

Znów westchnął.

— W oczach mi się zaćmiło, gdym ujrzał jéj uśmiech i usłyszał jadące wierzchem na uśmie-

chu wyrazy: „za mąż idę,— zapraszam pana na wesele”.... Niegodziwa!..

W oczach professora kręciły się łzy. Prosper patrzał na niego ze spółczuciem, nie mogąc wszakże zrozumiéć, jaki być może związek pomiędzy zamążpójściem jéj, a zajęciem. któremu oddał się był wirtuoz. Zapytał więc o ten związek.

— Ach! zapomniałem opowiedziéć,— odparł zapytany.— Jest to wspomnienie jednéj z tysiąca chwil obok niéj przy fortepianie spędzonych. Wykradałem jéj różne rzeczy na pamiątkę: okrawki z robótek, które ona w ręku miała, listki z kwiatków, które zdobiły jéj włosy i różne tym podobne drobiazgi, wszystko rzeczy martwe, które nie były cząstką jéj. Raz, kiedy siedząc przy fortepianie, pragnienie to mitrężyło moją duszę, postrzegłem na jéj gorsie, z przodu, wpitą w jéj ciało pchłę. Chciałem krzyknąć, lecz oniemiałem... Oniemiła mnie zazdrość.... Wpatrzyłem się w nią. Pchła wydała się mi olbrzymią... urosła do rozmiarów tygrysa... Piła i piła jéj krew, i naraz skoczyła na jéj ramie, a z ramienia na moją rękę, ot tu...

Tu pokazał miejsce.

— Szybko przykryłem ją palcami, nie puściłem. Czułem jéj drganie, szarpała się, trzymałem. Zaniosłem ją ostróżnie do siebie. Mia-

łem jéj cząstkę żywą. Pielęgnowałem też ją..... wkrótce potem dowiedziałem się, że zamąż idzie. Zarzuciłem muzykę i oddałem się cały mojéj pchle, z którą spędzałem całe godziny. Dostrzegłem w niéj pojętność— zacząłem więc studjować inne pchły... i otworzyłem akademję... I jestem kontent. Pchły wynadgrodziły mi wszystko, com utracił i czego się wyrzekłem, nawet sławę... (Tu rzekł z mocą.) Będę sławnym przez pchły...

X.

Professor edukował pchły. Prosper nic nie robił. Szło to tak z dnia na dzień. Pomiędzy dwoma sąsiadami zawiązał się pewien rodzaj zażyłości i poufałości, tak dalece posuniętéj, że exmuzyk ośmielił się powiedzieć malarzowi:

— Czemu pan nic nie robisz?..

— Czemu?.. spytał malarz. Dla téj saméj przyczyny, dla któréj pan wykierowałeś się na dyrektora akademji...

— Kochasz?..

Prosper westchnął.

— Jakże mi pana żal!..

— Ja, ani pchły, jako cząstkę jéj, mieć nie mogę...

— Nie dla tego mi pana żal, ale dla tego, że może święty ogień wygasnąć w duszy pańskiéj, jeżeli ją miłość zbytecznie rozpłomieni...

— Najgorzéj, że nie wiem, co się z nią stało...

— Z kim? z duszą!..

— Nie, z nią, z tą którą kocham... Znikła gdzieś, jak kamfora i znaleźć jéj nie mogę... Szukam, tłukę się po mieście, niby Marek po piekle i napróżno...

— Tém lepiéj... Może się uratujesz... W duszy pańskiéj pozostanie najpiękniejsza cząstka jéj....

— Jaka?

— Ideał...

Prosper począł chodzić po izbie wzdłuż i wszerz i poprawiał sobie włosy, które zburzył tak, że głowa jego wyglądała, jak słomiana strzecha po przejściu trąby powietrznéj. Chodził i wzdychał. Porwał kapelusz i wyszedł. Przebiegł przez galerję, która trzęsła się pod jego stąpaniem, jakby runąć miała; wybiegł na ulicę, skręcił na prawo i na zawrocie spotkał się oko w oko z księciem. Spotkał się, lecz w roztargnieniu nie poznał go, aż ten zawołał:

— Prosperze!..

Za powtórném dopiero zawołaniem Prosper

się obejrzał i jakby po długiém niewidzeniu ujrzawszy księcia, krzyknął:

— Książe!..

I serdecznie mu rękę uścisnął.

— Dokąd tak spieszyłeś?..

Prosper scisnął ramionami i odrzekł:

— Sam nie wiem... Puściłem się na spotkanie jéj... Gdzieś się tak ukryła...

— Kto?..

— Ach! o niczém chyba nie wiesz?.. Kocham!

— Książe głową kiwnął i ręką machnął, jakby chciał powiedzieć: masz go!.. Nie powiedział jednakże tego, tylko się uśmiechnął i podawszy Prosperowi ramie, rzekł:

— Ponieważ gonisz bez celu, więc nie zrobię ci przykrości, jeżeli wezmę cię ze sobą na przechadzkę... Masz błąkać się sam, błąkaj się ze mną... Tylko będziesz musiał stosować się do ociężałych kroków starego i powściągać unoszący cię pęd...

— Cóż robić!.. odparł Prosper.

I dwaj przyjaciele, ramie pod ramieniem, pociągnęli z ulicy w ulicę.

Książe zawiązał rozmowę. Zaczął ją od rynsztoków, których budowę krytykował, opowiadając szczegółowo, jaką być powinna, ażeby odpowiedziała zadaniu oczyszczania miasta. Mówił z całą znajomością rzeczy, a tak zajmująco, że

zainteresował człowieka, który myślą ścigał zniknioną kochankę. Od rynsztoków przeszedł do drzew i parków i szeroko rozwodził się nad zbawiennym wpływem liści na zdrowie ludzkie. Mówił o zdrowiu i o moralném onego znaczeniu. Jaki fundament zdrowia pozbawił czystość.

— Czystość fizyczna ściśle jest związana z moralną. Pierwsza daje zdrowie ciała, druga duszy. A zdrowie ciała i zdrowie duszy, to dwie strony jednéj i téj saméj rzeczy...

— Chodzące nie zawsze w parze... wtrącił Prosper.

— Nie zawsze... odparł książe, — ale najczęściéj my sami temu winni.., Pielęgnując ciało zaniedbujemy duszę, albo pielęgnując duszę, zaniedbujemy ciało, jak naprzykład, niedaleko szukając, to ostatnie pan Prosper Grzęda praktykuje....

Ostatnie wyrazy wymówił tonem dobrotliwéj wymówki.

— Cóż memu ciału brak? zapytał malarz.

— Wody... odpowiedział Książe; wody i jeszcze wody, tego elementu, który myje i czyści tak człowieka samego, jako téż jego mieszkanie.

— Ja się wody boję, rzekł Prosper tonem żartu; boję się ażebym przez wprowadzenie tego elementu nie rozpuścił moich farb, ażeby te nie stały się blademi....

— Hm, podchwycił książe, może masz rację... Ale co do twoich farb, słyszałem, że malujesz cóś nowego...

— Cóż przecie?..

— Wielki obraz, pod tytułem: „Polonez śmierci,” mający reprodukować wypadek na balu u Ciołeckiego i portret Armulpha...

— Pierwszy raz słyszę.

— Głośno o tém mówią. Nawet Armulph był u mnie i zapowiedział, że ma zamiar nabyć obraz do swojéj galerji. Bardzo go śmieszyło, gdy się dowiedział, że nic o tym twoim zamiarze nie wiedziałem.

— Bo i ja nic nie wiedziałem...

— Dziwna rzecz. Wszyscy o tém z największą mówią pewnością. Więc nie malujesz?

— O Polonezie śmierci, ani myślałem, o portrecie Armulpha myśléć nie mogłem dla téj prostéj przyczyny, żem z Armulphem dwóch słów nigdy w życiu nie zamienił, a nawet nigdy go nie widziałem. Wiem tylko ze słyszenia, że to bogaty bankier...

— Bogaty... potwierdził książe.

— Nie tylko tych obrazów, ale nic teraz nie maluję,— ciągnął Prosper. Rzuciłem pendzle w kąt...

— Jakaż temu przyczyna?

— Roztargnienie... miłość...

Książe, jak na początku rozmowy, znów głową kiwnął i ręką machnął i nie podchwycił wyrazów „roztargnienie... miłość,” taką bogatą treść do rozmowy w sobie zawierających, ale powrócił do obrazów.

— Kiedy tak głośno mówią o „Polonezie śmierci,” widać, że publiczność domaga się tego malowidła... Warto uczynić jéj zadość...

— Publiczności, czy Armulphowi?..

— Chociażby i Armulphowi...

— Dla tego, że bogaty?..

Książe pomyślał przez chwilkę i odpowiedział:

— Dla tego... Bogactwo ma swój urok i we względzie gustu jest dobrym przewodnikiem, jak żelazo we względzie elektryzmu. Jeżeli przeto uczynisz zadość Armulphowi, bądź pewnym uznania i ze strony publiczności...

— Biedna publiczność, wsunął Prosper.

— Ha!.. odrzekł książe. Należy brać rzeczy jak są i z tego jak są robić taki użytek, ażeby doprowadzić do tego, jak być powinno... U nas taki jest jeszcze stan wyobrażenia o pięknie, że piękno, ażeby zostało uznaném, nie może się obejść bez rekomendacji... Ale ten stan przeminie... Rekomendacje, często się powtarzając, urobią powoli pojęcie ogółu. Takim jest, niestety, porządek rzeczy. Sztuka, do pewnego stopnia, potrzebuje mecenasowania, póki o własnych nie

stanie siłach... a o własnych siłach stanąć może nie pierwéj, aż piękno dostąpi uznania ogólnéj potrzeby... Wypływa to wprost z konstrukcji naszego europejskiego społeczeństwa.

— Cóż to za jeden, ten Armulph?... przerwał Prosper.

— Bogaty bankier, człowiek doskonale interesa swoje prowadzący, a przytém chorujący na protektorstwo sztuk pięknych, zwłaszcza malarstwa...

— Ma galerję obrazów...

— Widziałem tę galerję, podchwycił książe tonem lekceważenia. Zbieranina, istne *tutti frutti*, zdradzające jak najzupełniejszy brak znajomości i gustu...

— I chcesz, żebym dla takiego hebesa malował!.. zawołał Prosper.

— Ach! odrzekł książe, malując, nie myśl o hebesie, ale o publiczności, o narodzie... Sztuka to piorun, bogacz to konduktor, naród, to ziemia... Za pomocą konduktora pioruny spływają, wsiękają w ziemię i nasycają ją elektryzmem i....

Nie mógł rozwinąć tego porównania, dla tego, że ulice, któremi szli, wyprowadziły ich za miasto, na drogę, która nagle wspięła się na stromą i dość wysoką górę. Stary człowiek zadyszał się. Trudno mu było mówić. Więc zamilkł

i opierając się lewą ręką na lasce, prawą na ramieniu Prospera, kroczył w milczeniu na szczyt.

Góra ta, z powodu zapewne jakichciś historycznych wspomnień, nazywała się „Zamkowym Widem," albo prosto „Widem." *) Musiał niegdyś wznosić się na niéj zamek, którego już ani śladu nie pozostało. Boki jéj obrosły lasem. Wśród drzew, ślimakiem wiła się droga, obiegająca jéj stożkowy kształt i zakończona na szczycie kołem, opasującem ścięty równo wierzchołek urządzony na ogród spacerowy. Były tam trawniki, altany, klomby, szpalery, ławki i żwirem wysypane ulice. Droga służyła dla pojazdów, żwirowe ulice dla pieszych.

Z ochotą szedł Prosper na Zamkowy Wid. Przechadzka w tę stronę miała dla niego znaczenie wspomnienia. On tu widział ją przed rokiem. Siedziała w powozie zwanym *caleche crinoline*. Siedziała — raczéj leżała, przysłonięta malutką parasolką. Woźnica i lokaj na wysokim koźle wyglądali, jakby się nieśli powietrzem. Dzielne konie unosiły powóz do góry, coraz to wyżéj. A w tym powozie, w tych koniach, w téj służbie i w niéj taka była lekkość i lotność, że zdawało się, iż na szczycie koniom trysną z pod

*) Uprzedzam czytelnika, że mowa tu nie o lwowskiéj „Zamkowéj Górze."

szorów skrzydła— i powóz, służba i ona ulecą w obłoki. Prosper naprzełaj wbiegł na szczyt. Mignęła mu przed oczami jeszcze raz i znikła.

To wspomnienie przyszło mu na myśl. Szedł więc ochoczo, dźwigając księcia i niecierpliwiąc się w duchu powolnością jego chodu.

Gdy weszli na szczyt, usiedli na jednéj z ławeczek, z któréj prześliczny otworzył się przed ich oczami widok. Widok tu nie był nowym, ani dla księcia ani dla Prospera, a przecież przypatrywali się mu, niby nowemu. U stóp ich, po dolinach i wzgórzach, tu w gęstem zgruppowaniu, ówdzie w rozpierzchnieniu śród ogrodów, rozrzuciło się miasto, ze swojemi kościołami, pałacami, gmachami, pomnikami i dworkami. Za miastem zielone wzgórza gubiły się w dali, a za wzgórzami, na dalekim widnokręgu, ciągnął się amfiteatr gór, wyglądających nito góry, nito obłoki. Po drugiéj stronie rozlegała się szeroka równina, przez którą wężem przewijała się rzeka, gubiąca się za firanką pagórków. Na téj równinie, pokrajanéj w szachownicę łanami zbóż, czarnémi rolami i zielonémi łąkami, a ustrojonéj w siniejące lasy, widać było mnóstwo sielskich osad, strzelających do góry wysokiemi wieżami kościołków, na których blaszane krzyże połyskiwały do słońca.

Prześliczny, zachwycający to był widok. Z jednéj strony wpatrzonemu odkrywały się coraz to nowe, a zawsze piękne pejzaże, z drugiéj, oko gubiło się w bezmiarze. A stąd i stąd wiała jakaś smętność, jakaś niby duma zaklęta w kształty bezładu, w jakie natura ujęła kraj do koła, jak okiem sięgnąć.

Snadź i na Prospera i na księcia smętność ta oddziałała, bo przypatrywali się i milczeli, a na ustach ich nie wisiał uśmiech, a w oczach ich płonął zachwyt. Książe złożył obie dłonie na lasce, na dłoniach wsparł brodę i wzrokiem powoli powodził do koła. Tak upłynęło pół godziny. Milczenie przerwał Prosper.

— Mógłbym powiedzieć, jak uczniowie Chrystusa przy spotkaniu się z Mojżeszem i Eliaszem: „dobrze nam tu, rozbijmy namioty...”

— A ja, odparł książe, mógłbym ci odpowiedzieć słowami, któremi szatan Chrystusa kusił: „wszystko to będzie twoim,” tylko nie pod temi, jakie szatan stawiał, warunkami...

Prosper spojrzał na księcia wzrokiem pełnym zapytania.

— Wszystko to będzie twoim w przyszłości, gdy ciebie już nie będzie...

Mocniejsze jeszcze zapytanie strzeliło z oczów Prospera. Książe ciągnął daléj powoli i spokojnie:

— Będzie twoim w duchu, jeżeli twego ducha potęgą, natchniesz twoje dzieła... Piękno i dobro, to bracia Siamscy, zrośnięci jeden z drugim, idą zawsze razem, podnosząc i doskonaląc ludzkość... Ty więc, którego dusza jest źródłem piękna, posiadasz w téj duszy władzę nad tém wszystkiém...

Tu podniósł głowę, oderwał prawą rękę od laski i powiódł nią do koła.

— Malarstwo, rzeźbiarstwo, muzyka, poezja są współczynnikami moralności, a zatém i potężnemi dźwigniami postępu. Podbijając świat dla siebie, podbijają go dla postępu. Takie ich powołanie, takim ich święty obowiązek... Biada malarzowi, co ciska pendzle w kąt!..

Prosper poznał do czego książe zmierzał, poznał, ale wraz, przejęty uroczystym tonem słów jego, zadrżał, niby w obec zbrodni, której jeszcze nie spełnił, lecz spełnić ją miał.

I nic nie odpowiedział.

Książe milczał przez chwilę, a po chwili daléj mówił, ale zmienionym tonem. Spuścił z wysokiego nastroju:

— Wymawiasz się miłością?.. Nędzna wymówka!.. Co warta taka miłość, która człowieka powołania od pełnienia powinności odprowadza!.. Taką miłość powinieneś nogą kopnąć i odwrócić się od niéj...

Prosper westchnął tem westchnieniem, co to jest zarazem jęknięciem.

— Pełnij powinność twego powołania, a miłość stanie u twego wezgłowia, jak anioł biały, i poniesie przed tobą pochodnię...

Prosper pochwycił księcia za rękę i ścisnął ją drżącą dłonią. Oczy jego łzami nabrzmiały, a usta mówiły:

— Przebacz... Zapomniałem się... Zbluźniłem... Powrócę do pracy, zaprzęgnę się do niéj, tylko, dodał proszącym tonem, niech nikt nie wie, co robię... Będą mi przeszkadzali... Będą się o uszy moje obijały różne postrzeżenia i uwagi i rady, rzucające czarne plamy na tło mojéj wyobraźni... Niech ludzie myślą sobie, że maluję „Polonez śmierci" lub „Portret bankiera..." Nie wyprowadzaj ich z błędu... Ja ich w tym błędzie sam utwierdzę...Chcę malować sam; chcę obraz, który zaczęty widziałeś, wysnuć z samego siebie... Pokażę go ludziom, rzucę go im na pastwę, nie prędzéj, aż skończę...

— Niech tak będzie, odrzekł książe. Jesteś wzruszony i zirytowany... Ale rozumiem twoje powody i słuszność ich uznaję...

Domawiając tych wyrazów wyjął kieszonkową lornetkę, rozsunął i skierował ją w stronę, gdzie dworki przedmiejskie tonęły w zieleni ogrodów. Czegoś szukał. Nastawiał szkła z przedmiotu

na przedmiot, aż znalazł. Uśmiechnął się i podał lornetkę Prosperowi.

— Weź, patrz... rzekł palcem ukazując, tam gdzie ten szereg topoli, a za szeregiem biały domek pod czerwoną dachówką, a za dworkiem ogród... Szukaj... Zrób ścisły przegląd tego ogrodu...

Prosper szukał i po chwili krzyknął:

— Ona!...

Twarz mu się rozjaśniła, oczy radością strzeliły, ręka drżała. Napróżno przykładał do oka lornetkę. Nie mógł nic widzieć, bo nie był w stanie lornetkę spokojnie trzymać. Migotało mu w oczach.

— Powinieneś miłość podnieść do wysokości, na której sam stoisz... Podniesiesz ją, jeżeli zechcesz...

— Zechcę!.. zawołał malarz.

Książe wstał, zabierając się do odejścia i półgłosem, pół do siebie, pół do Prospera, rzekł:

— Ona tego warta...

I podał Prosperowi ramie i zaczął rozpowiadać legiendę o Zamkowym Widzie.

XI.

Ciężkiem było Lucyny życie. Otaczały ją same pokusy, — pokusy najniebezpieczniejsze, bo ukazujące w perspektywie bogactwo. Kusiła ją macocha, kusił bankier, kusiła siostra Jagniewicza. Nikogo nie było przed kim by się mogła zwierzyć, przed kim otworzyćby mogła głąb swojéj poetycznéj duszy. Otaczała ją proza— i to, jaka! Proza napisów na biletach bankowych, akcjach i obligacjach, głosząca sto, znacząca pięćdziesiąt.

Pani Prawecką, co miała najciekawszego zawsze do powiedzenia, to jedynie to, jakim był stosunek posagu téj do majątku owego. Ciekawe te fakta, zaprawione skandalami, opowiadanemi na to, ażeby litować się nad „nieszczęśliwą ofiarą" (w każdym bowiem skandalu ofiara być musi), stanowiły bogatą i nigdy niewyczerpaną treść rozmów, które Lucynę napawały niesmakiem i wstręt w niéj budziły, zwłaszcza gdy się dowiedziała, że pani Prawecka sama była ofiarą. Zwierzyła się bowiem, pod wielkim sekretem, że byłaby wyszła za Armulpha, gdyby nie zbieg dziwnych, a nadzwyczajnych okoliczności, które

ją zniewoliły Praweckiego bezposażną uszczęśliwić ręką. Była to długa historja— długa, ale niesmaczna, kręcąca się około różnicy, zachodzącéj pomiędzy majątkiem Armulpha, a majątkiem Praweckiego. Sens moralny téj historji był następujący: polowało się na miljony Armulpha,— nie udało się, więc się spolowało tysiące Praweckiego.

Bankier wówczas tylko był w swoim żywiole, gdy rozmowa zahaczyła o treść targów pieniężnych, gdy mógł mówić o *hausse* i *baisse*, będących w jego mniemaniu dwoma biegunami, na których opierała się oświata. Tłómaczył głębokość ich znaczenia, dającego się zastosować do wszystkiego. Cnota, według niego, była *hausse*, zbrodnia *baisse*. Wartość ich mierzyła się produktywnością. W pewnych razach cnota stawała się zbrodnią a zbrodnia cnotą, a to, kiedy pierwsza narażała na straty, a druga się rentowała. Powodzenie: oto był bój, któremu bił pokłony; rzetelność: oto fundament, na którym spoczywała moralność.

Lucyna nie wiodła sporów, ani z panią Prawecką, ani z bankierem, tylko niekiedy z macochą. Nie mogła pojąć, jak to można oddać rękę, a nie oddać serca, bez sponiewierania godności kobiecéj. Pani Julja, obok tysiąca argumentów, tłómaczących funkcję serca w organi-

zmie moralnym i znaczenie godności w kobięcem uczuciu, miała jeden, który Lucynie usta zamykał:

— Jeżeli nie dbasz o siebie i los własny, gotowa jesteś puścić na loterję kochania, to powinnaś dbać o mnie... Pierwéj zostałaś córką twego ojca, niż zostaniesz czyjąkolwiek żoną... A godność córki, zdaje mi się na tém zależy, ażeby pamiętać o rodzicielskich długach...

Lucyna nie miała co na to odpowiedziéć. Jasno widziała, że przed nią stało dwóch pretendentów: Armulph i Jagniewicz. Gdy myślała o jednym, albo o drugim, przejmował ją zimny dreszcz; robiło się jéj tak, jak więźniowi, któremu odczytano wyrok, skazujący go na haniebną śmierć. Ściany więzienia grube, na nogach i rękach kajdany, umrzéć trzeba, a tu niby na przekorę przez zakratowane okienka zagląda świat, którego żal. Okienkiem owem dla niéj była myśl o malarzu-dziwaku, z po za którego dziwactwa, przeglądało serce.

Serca ona nie dostrzegła w nikim: ani w tych co ją otoczyli dziś, ani w tych co ją otaczali niegdyś. Dla tego to niegdyś wszystkich brała na gryzący ząb i wkluczała do „Ćwiczeń.” Dziś humor ją opuścił, a „Ćwiczenia” pozostały w opieczętowanym domu.

Humor ją opuścił. Nie była to już owa wesoła, a dowcipna panienka, za którą, jak ogon za kometą wlókł się złośliwy uśmiech, mający własność zmrażania uśmiechów obwisłych na ustach panów w obcisłych rękawiczkach i lakierowanych bucikach. Spoważniała i zesmutniała— i zamknęła się w sobie. Tego ostatniego powodem była macocha. Dla dogodzenia jéj brała na usta uśmiechy, dla niezmartwienia jéj udawała spokój; lecz bacznemu postrzegaczowi nie trudno by było dostrzedz, że owe uśmiechy i ów spokój świeciły jak próchno; nie pochodziły z serca; źródło ich nie biło z duszy. Ale — kto by tam takiemi bawił się spostrzeżeniami...

Wyżéj powiedziałem, że Lucyna widziała, iż przed nią stało dwóch pretendentów. Przybycie jednego, lub drugiego regularnie przejmowało ją śmiertelną trwogą, a trwoga pochodziła z obawy, ażeby się który nie oświadczył. To téż cały swój genjusz wysilała na to, ażeby do oświadczenia nie dopuścić. Z powodu macochy musiała być grzeczną i uprzejmą, z powodu obawy była zagadującą. Układała sobie z góry treść rozmów i bawiła niemi kawalerów— bawiła, aż jéj biedaczce język do podniebienia przysychał, a gorączkowe rumieńce na twarz występowały. Macocha jednakże była zadowoloną i oni byli zadowoleni.

Niezadowolona była tylko ona, ale z tem niezadowoleniem nie występowała na widok publiczny. Nie wiedział o niém nikt, okrom poduszki, którą co nocy łzami zlewała i książki do nabożeństwa, która pomagała jéj prosić Boga o pociechę i ratunek...

A potrzebowała i pociechy i ratunku. Położenie w jakiem się znajdowała, wydawało się jéj nieznośnem, okropnem, poniżającem. Macocha trzymała ją niby zakładnicę na łasce Armulpha, a ta łaska ciążyła jéj, niby popełniona zbrodnia — ciążyła i upokarzała. Dźwigała krzyż, a nie miała przed kim się poskarżyć. Pani Julja nie chciała, lub nie umiała jéj rozumiéć.

Zarzuciła ołówek, zarzuciła wszystkie dawniejsze rozrywki, zaniedbała nawet muzykę. Czas przepędzała w taki sposób, ażeby się przysposobić do stawienia czoła niedostatkowi. Bo pomimo, że macocha pewną była dla niéj bogatego zamążpójścia, ona téj pewności nie podzielała. Jakiś głos wewnętrzny mówił jéj, że ją Bóg uratuje od hańby sprzedania się.

W celu przeto wyprzedzenia niejako tego ratunku, bohaterka nasza uczyła się różnych pożytecznych rzeczy: gotowania, prania, szycia, prasowania, cerowania, robienia pończochy — rzeczy, które dodane do talentów, jakie posiadała, mogły z niéj zrobić kobietę, posażną tą

wewnętrzną wartością, któréj, ani ogień nie spali, ani woda nie spławi, ani złodziéj nie zabierze. W uczeniu się tych pożytecznych rzeczy tyle rozwinęła woli, że wytrwała, nie zrażając się, ani trudnościami, ani téż troskliwem strofowaniem macochy, gniewającéj się na nią za ręce.

— Nie dbasz o ręce... zgrubieją... paznogcie stracą kształt i kolor: porzuć to praczkarstwo, szwaczkarstwo i kucharstwo...

Lucyna tłómaczyła się nudami i swoje robiła. Pracowała przez cały dzień i dopiero wieczorem pozwalała sobie na wypoczynek. Na godzinę przed zachodem słońca wychodziła do ogrodu i zostawała tam do późnego zmroku.

Wieczór w ogrodzie był jéj bezpodzielną własnością. Nikt jéj tam nie przeszkadzał, nikt nie straszył. Z zupełną swobodą umysłu, bądź chodząc wzdłuż po szerokiéj ulicy, która od dworku szła na przestrzał do graniczącego z zamiejskiem polem parkanu, bądź na ławce pod rozłożystym kasztanem, rosnącym na połowie długości ulicy, oddawała się rozmyślaniu.

Dużo bym musiał papieru zapisać, gdybym spisać chciał wszystko, o czém ona myślała. Możeby krócéj było pisać o czém nie myślała. Nie o kwadraturze koła, ani o perpetuum mobile, ani o wydoskonaleniu balonu, ani o wynalezieniu telegrafu szybszego, niż elektryczny—

zresztą, bodaj, czy nie o wszystkiém. Wychowanéj w dostatkach, zbytku i nietroszczeniu się o jutro, trudno jéj było znaleść kierowniczą nitkę, która by ją wyprowadziła z labiryntu przypuszczeń, wniosków, a nawet obrazów przyszłości, jakie się jéj do głowy cisnęły i opadały mózg rojem, szumiąc, brzęcząc i migocąc. Często jednakże powracająca myśl o kawałku chleba z miłosierdzia, którego dławienie w gardle czuła, ułatwiło jéj uchwycenie końca kierowniczéj nitki. Końcem owym było pojęcie potrzeby pracy. Zrozumiała, że praca jest rękojmią niepodległości.

Zrozumiała, że praca jest rękojmią niepodległości, lecz ogólnikowo. Nie była w stanie wniknąć w szczegóły, których nie znała i dla tego zapewne przesadne wyprowadzała rezultaty. Wyobrażała bowiem sobie, że własną pracą potrafi zdobyć niepodległość dla siebie i dla macochy i...

Na tem ostatniem, musiemy się zatrzymać.

Drogi jéj rozmyślań, rozmaite do nieskończoności, wszystkie do jednego zbiegały się punktu. Punktem tym był malarz-dziwak. Wciąż i wciąż do tego punktu dochodziła, a gdy doszła, to ją coś na nim niby przyczarowywało, jakby ona była wiewiórką i wąż grzechotnik utkwił w nią magnetyczny swój wzrok. Rozmyślanie o pracy ją opuszczało, a na jego miejsce wchodziło inne,

podobne do tkaniny, snutéj z promieni i haftowanéj urokami. Sniła na jawie, a śniła cudnie, owiana atmosferą piękna...

Śnicie to powtarzało się codziennie. Opowiedzieć je— nie sposób. Język ludzki nie posiada wyrazów na danie kształtu tym obrazom, jakie posiłkowana sercem jéj wyobraźnia malowała. Było to niebo — a w tem niebie on— i ona w niego patrząca się wiecznie. Był to romans ducha czysty—i niemal święty. Ona okiem pomagała mu i on stawał się coraz większy, potężniejszy, sławniejszy, rósł w olbrzyma, rósł— i tem wyrażało się całe jéj szczęście. Więcéj nie pragnęła niczego.

Śnicie to— powiadam, powtarzało się codziennie— i codziennie kończyło się... westchnieniem. Inne zakończenie wydawało się niepodobnem.

Raz wszelako zakończenie inaczéj się wyraziło. Lucyna uciekła przestraszona. Z za parkanu, w ciszy wieczornéj, odezwało się półgłośne wołanie:

— Lucyno...

Wołanie to przeraziło ją— dla czego?.. Sama nie wiedziała. Przeraziło ją, jak niegdyś wyrazy „kocham ciebie,” których ton w uchu jéj na zawsze pozostał. Dziwna rzecz! zabrzmiało tym samym tonem. A kiedy ochłonęła z przerażenia, to „kocham ciebie” i „Lucyno” zlały się

w jedno „kocham ciebie, Lucyno,” pomimo, że pomiędzy tamtem wyznaniem, a tem zawołaniem był duży czasu przedział.

Kiedy ochłonęła z przerażenia, poczuła żal do saméj siebie.

— Czemuż-em uciekła!.. To wołanie było, albo wytworem mojéj własnéj fantazji, albo...

Drugiego „albo” nie umiała postawić. W każdym jednakże razie ucieczka wydała się jéj niepotrzebną i śmieszną.

Następnego wieczora prawie życzyła sobie, ażeby wołanie się powtórzyło.

I powtórzyło się.

Lucyna stanęła jak wryta. Serce jéj mocno biło.

— To ja, pani.. odezwało się z za parkanu. Przyszedłem powiedzieć pani „dobry wieczór”...

Ludzki głos i naturalny ton mowy uspokoiły Lucynę, a jeszcze bardziéj uspokoiło ją to, że poznała z kim ma do czynienia. Chociaż puste serce nie przestawało jéj tłuc się w piersi, jakby chciało piersi rozbić, odpowiedziała:

— To pan?.. dobry wieczór...

— Długo panią szukałem... Przed kilku dopiero dniami odszukałem, ze szczytu Zamkowego Widu... Pokazał mi panią książe, przez lunetę... Od tego czasu przychodzę tu codziennie

o wieczornéj porze, staję pod parkanem i patrzę przez szparę... Może ja pani zrobiłem przykrość?..

Zapytanie takim rzewnym wymówione było tonem, że Lucyna pośpieszyła z odpowiedzią:

— Nie... najmniejszéj...

— I ja tak myślałem... Czyż by nie wolno było patrzéć?.. czyż by to miało być występkiem?.. Zrazu chciałem tylko patrzéć, chciałem sobie w ten sposób wynadgradzać całodzienną pracę, lecz ta zaczęła mi nie wystarczać... Odezwałem się wczoraj, pani uciekłaś... Odezwałem się jeszcze i dziś... i... dziękuję pani, żeś nie uciekła... Czemuś pani wczoraj uciekła?..

— Nie wiem... odrzekła Lucyna. Zlękłam się...

— Muszę ja być przerażający...

— O! nie... bynajmniéj...

— Więc będzie mi wolno przyjść codzień i „dobry wieczór" pani powiedziéć?..

Lucyna nie dała na to odpowiedzi. Prosper tłómaczył powód zapytania:

— Bo w dzień, nie mogę... pracuję... a przytem, gdybym w dzień przychodził, musiałbym się prezentować publicznie i gwałcić zakaz przestąpienia progu mieszkania pani....

— Zakaz?!.. podchwyciła Lucyna ze zdziwieniem.

— Wszak panie do tego mieszkania przeniosły się wprost od państwa Praweckich? zapytał.

— Wprost... odpowiedziała.

— Otóż, szukając panią, poszedłem najprzód do państwa Praweckich i zapytałem. Odpowiedziano mi, żeście się panie wyprowadziły niewiadomo gdzie... Z tego więc wywnioskowałem, że próg pani jest zakazanym, przynajmniéj dla mnie...

Prawdopodobieństwo tego przypuszczenia uderzyło Lucynę. Nic nie odpowiedziała. Prosper ciągnął daléj:

— A gdy próg jest zakazanym, w takim razie z pod prawa wyjmują się parkany...

Kończąc ostatni wyraz, był już nie za parkanem, lecz na parkanie, a w chwilę potem, w chwilę tak krótką jak rzut błyskawicy, u nóg Lucyny, na kolanach.

Parkan był wysoki i gładki. Tylko miłość mogła go tak przerzucić, — miłość albo strach. Lecz o tym ostatnim nie ma co mówić. Wspomniałem o nim dla tego tylko, żeby dać czytelnikowi wyobrażenie o wysokim parkanie.

Lucyna zachwiała się i krzyknęła:

— Ach!..

I chciała odskoczyć. Lecz Prosper trzymał ją za rękę, którą cisnął do ust, powtarzając:

— Kocham... kocham...

Położenie Lucyny stało się trudnem. Opanował ją pewien rodzaj zawrotu głowy, który jéj przeszkadzał wyrwać rękę i uciec, albo zgromić zuchwalca surowymi wyrazy.

O! bo też, to powtarzane „kocham" miało dla niéj tyle uroku— tyle uroku, że ani piórem opisać, ani słowem opowiedzieć. Od pocałunków Prospera, jakieś drżenie trwożne, ale pełne rozkoszy przenikało ją na wskróś.

Więc wyrwać rękę i uciekać, albo gromić chciała i nie chciała. Wahała się, nie wiedziała co począć, przejmował ją strach i wstyd.

To trwało chwilę, dłuższą jednakże niż ta, któréj potrzebował Prosper do przekroczenia parkanu. Lucyna odzyskała zupełną trzeźwość umysłu. Zawrót głowy ustąpił, strach i wstyd ucichły. Ich miejsce zajęła odwaga kobiety kochającéj. Nie wyrwała jednakże ręki, ale odzyskała władzę mówienia. Pierwszymi, jakie jéj z ust wypłynęły, wyrazami, były:

— I ja kocham... pana...

Prosper zerwał się z kolan i zrobił ruch taki, jakby ją chciał wziąść w ramiona. Lecz wówczas ona odstąpiła i rękę wyciągnęła. Giest ten powiedział:

— Nie wolno... ja? nietykalna...

W giescie tym była taka potęga rozkazu, że Prosper, ów zuchwały, światowemi formami pogardzający Prosper, stanął przejęty bojaźnią i uszanowaniem. Stanął i języka w gębie zapomniał.

— Kocham, mówiła Lucyna. Wyznaję dziś to, co wyznać bym musiała jutro, co już oddawna wyznałam przed sobą. Sądzę, iż ubliżyłabym własnemu sercu, gdybym z tego tajemnicę robiła przed panem, — przed panem, którego moje serce ukochało zapewne nie na to, ażeby bawić się w romans... Tego nie chcę ja i pan nie chcesz... Kocham: wiedz pan o tem; ale kiedy wiesz pan, to wiedzieć powinni wszyscy...

To powiedziawszy, jeszcze daléj się cofnęła, odwróciła się i bez pożegnania odeszła. Postać jéj, w czarną żałobną odziana suknię, prędko znikła w pomroku wieczorowym.

Prosper pozostał sam— w jakim stanie?—no!.. Wielkie szczęście, że było już ciemno. Wielkie, powtarzam, szczęście dla niego. Gdyby bowiem nie ten nocy płaszcz, ukrywający zarówno złe i dobre, brzydkie i piękne, musiałbym, zdaje mi się, bohatera powieści w niekorzystnem czytelnikowi przedstawić świetle. A tak? pozostał sam i kwita ; w jakim stanie? nie wiadomo; postał sobie i wyniósł się z ogrodu tą samą drogą, którą przyszedł. Dodać tylko winienem, że

przelezienie przez parkan napowrót nie mało kosztowało go trudu. Napocił się, biedaczysko, podrapał sobie ręce, poobtłukał kolana i koniec końcem przelazł.

XII.

Modliła się przez cały wieczór i przez całą noc nie spała i nazajutrz, przy kawie, wyznała macosze, że kocha.

Oczy pani Julji strzeliły promieniami gniewu— gniewu suchego, zawziętego, nieubłaganego.

— Kochasz?.. zapytała z uśmiechem.

— Kocham,.. odpowiedziała Lucyna głosem pewnym, pomimo, że bladość, z jaką zasiadła do stołu, powiększyła się do tego stopnia, że wyglądała jak posąg z kredy.

— Wolno wiedzieć: kogo?..

— Pana Prospera Grzędę...

— Kogo, kogo?.. powtórzyła pani Julja zapytanie z tym złośliwym akcentem, stawianym nie dla tego, że się odpowiedzi nie dosłyszało, ale dla tego, ażeby zmieszać i upokorzyć odpowia-

dającego. Lucyna wszakże, ani się zmieszała, ani upokorzyła, Powtórzyła spokojnie:

— Pana Prospera Grzędę...

— Grzędę?.. Grzęda?.. Co to takiego?..

— Malarz...

— A...

Na tem rozmowa byłaby się urwała. Pani Julja byłaby, jak się zdaje, poprzestała tym razem na prostem przyjęciu do wiadomości wyznania pasierbicy, gdyby ta nie ciągnęła rzeczy daléj.

— Zrobiłam przed mamą to wyznanie dla tego, ażeby podziękować panu Armulphowi za grzeczność, która nas poniża...

— Bez wyznania mogło się obejść, odrzekła pani Julja sucho i w ten sposób, jakby każdy wyraz był szczęknięciem, a z podziękowania nic nie będzie, aż chyba wówczas gdy zostaniesz jego żoną...

— Ja żoną jego być nie mogę... wtrąciła Lucyna.

— A?.. A toż czemu?.. zapytała pani Julja z zawieszoną nad brwiami groźbą.

— Bo nie chcę być względem niego niewdzięczną... Za jego dobroć nie chcę go oszukiwać, oddając mu rękę, z którą razem i serca oddać nie mogę... Gdyby przynajmniéj serce moje było wolnem...

— Nie dobra dziewczyno! egoistko!.. krzyknęła pani Julja. O sobie wciąż, o sobie tylko myślisz!.. jakbyś to drugiéj matki i obowiązków dla niéj wcale nie miała...

— Pamiętam o tem, moja mamo i mam na to moją pracę...

— Twoją pracę?.. przerwała macocha, twoją pracę?.. Dziękuję za to!.. Twoja praca wykieruje mnie na to, że zostanę twoją panną służącą, a w najlepszym razie, dewotką, dla rozrywki krzywiącego się na zbyteczną w domu gębę pana malarza dzieci niańczącą...

— O, moja mamo!.. zawołała Lucyna tonem boleśnie dotkniętego serca.

— Twoja praca? ha! jakaż ona wspaniałomyślna!.. A nie pomyślałaś o tem, że dla mnie to dopiero byłoby poniżeniem... Nie pomyślałaś o tem, że byłoby to wyrzuceniem mnie ze świata, w którym życie spędziłam i wskazanie na życie, o którem myśl sama, zgrozą mnie przejmuje... Twoja praca? Jéj praca?.. Cha cha! to mi się podoba... Ona po całych dniach w kuchni, pryszcząca przysmaki dla pana malarza, ja bez pończoch i trzewików... Piękna perspektywa! szczególnie piękna w zestawieniu z tą drugą, wynikającą ze świetnéj karjery, która się sama w ręce daje...

— Gdybym za tę karjerę wynadgrodzić mogła sercem... wtrąciła Lucyna.

— Milcz, ty, z tem sercem!..

— Mamże odpłacić panu Armulphowi oszukaństwem!..

— Armulph jest zanadto *homme du monde*, ażeby na podobne dziecińśtwa uważał... Zresztą, tu nie o Armulpha chodzi, ale o mnie. A ja, wiesz kim jestem?.. Więcéj niż matką... Rozumiesz?.. Czyż takiéj krótkiéj jesteś pamięci, żeś zapomniała o staraniach i troskliwości, jakiemi cię otoczyłam?.. Któż to cię wychował: czy nie ja?.. Kto mnie rzucił na bruk: czy nie twój ojciec?.. Czy chcesz, żebym twego ojca pamięć przeklęła i twoją głowę przekleństwem obarczyła?.. Masz! wybieraj: albo Armulpha rękę, albo moje przekleństwo...

Była pani Julja w furji. Oczy jéj strzelały błyskawicami gniewu i były dotychczas suche. Nagle lunęły z nich potoki łez. I Lucynie łzy puściły się z za powiek. Poskoczyła ku macosze, uklękła przed nią i pochyliła głowę na jéj kolana.

— Ty nie wiesz, jak mnie zmartwiłaś... odezwała się pani Julja po chwili.

— Niechcący, mamo, niechcący... odparła Lucyna. Sądziłam, że najlepiéj zrobię, gdy wyznam otwarcie stan mego serca... Przed kimże

mam wyznać, jeżeli nie przed tą, co mi matkę zastępuje? Sądziłam, że mama weźmie na siebie powiedzenie o tem panu Armulphowi i wszystkim, bo nie chciałam się kryć z tem, co nie jest występkiem...

— Dobrześ zrobiła... odpowiedziała pani Julja. Zmartwiłaś mnie, to prawda, ale to już takie snadź moje przeznaczenie... Lepiéj, żeś zrobiła wyznanie mnie, niż miałaś je zrobić... malarzowi...

— Zrobiłam i malarzowi... podchwyciła Lucyna.

— Ach!.. jęknęła pani Julja z głębi piersi.

— Ale, dodała po chwilce ze złośliwym uśmiechem, który dziwnie jakoś odbił od oblanéj łzami twarzy, to nic...

Niech sobie malarz wyznaniem się cieszy... Pod błogosławieństwem zakazuję ci, ażebyś się z nim widywała i jakiekolwiek stosunki utrzymywała...

— Nie chciałam się z nim widywać inaczéj, jak tylko w obecności mamy, dla tego wyznałam mamie moją miłość...

Ani w mojéj obecności... Jeżeli by się pokazał na progu, kazałabym mu pójść precz...

— Mamo!.. rzekła Lucyna tonem, w którym uczucie osobistéj zadzwoniło obrazy. Pierwszy raz uczuła, że ma do czynienia nie z matką.

— Musisz mieć od niego jakieś listy?.. przerwała pani Julja.

— Żadnych... odpowiedziała Lucyna sucho.

— Masz...

— Żadnych... Moja mamo, rzekła z dumą, nigdym w życiu nie skłamała...

— Romanse tolerują ten występek, ale... Zresztą, mniejsza o to... Taka głupia miłość nie może ci przeszkodzić pójść za Armulpha... Wypraszam sobie tylko, ażebyś dla niego i dla wszystkich, co u nas bywają była grzeczną i uprzejmą, jak zwykle...

Takiem było ultimatum ze strony pani Julji. Lucyny serce boleśnie się ścisnęło. Poznała, że ma do czynienia z kobietą niezłomnych postanowień. Poznała oraz, że serce jéj własne nie da się téj niezłomności przełamać,— raczéj pęknie samo z siebie, niż popełnić by miało to, co by je zhańbiło.

Pomyśli kto może, że od téj chwili, pomiędzy macochą, a pasierbicą wszczęła się walka. Bynajmniéj. Gdyby była walka, nastąpić by musiało z jednéj strony zwycięstwo, z drugiéj kapitulacja. Nie kapitulacja wszelako kobiety takiéj jak pani Julja, ani takiéj jak Lucyna. Ta ostatnia postanowiła być uległą i posłuszną do ostatka, to jest, do śmierci, któréj była pewną,— śmierci jednakże nie sztucznie sprowadzonéj, ja-

ką zginął jéj ojciec, lecz naturalnéj, pochodzącéj z nadmiaru uczucia, rozsadzającego serce. Niektóre kobiety, w pewnych razach, mogą na taką śmierć liczyć. Liczyła też na nią Lucyna i była spokojną. Z uśmiechem na ustach witała zwykłych gości i o to się usilnie starała, ażeby nie dać macosze powodu do zmartwienia.

Pozornie więc pani Julja nie miała czego się martwić. W istocie jednakże rzeczy, wyznanie pasierbicy zaniepokoiło ją. Chodziło jéj bowiem nie o pasierbicę, ale o siebie samą. Pani Julji, po utracie męża, majątku i pozycji, Lucyna przedstawiła się jak deska zbawienia, na któréj mogła jeszcze wypłynąć. Postanowiła więc zużytkować ją. Postanowiła wydać ją za mąż, jak najprędzéj i jak najlepiéj, ażeby módz następnie pomyślić i o sobie. Potrzebowała czegoś, o co by się oprzéć mogła i moralnie i materjalnie, czegoś, co by ją uwydatniło i pewnym urokiem otoczyło. Pani Julja i sama mogła jeszcze iść za mąż, lecz nie mogła myśléć o tem w tej chwili, kiedy nie było ram do oprawienia w nie własnéj postaci, która ram potrzebowała. Niestety! nie owiewał jéj już urok młodości. W trzydziestu kilku leciech można być jeszcze piękną, ale nie można téj piękności pozostawiać saméj sobie: trzeba już ją otaczać tą sztuczną oprawą, na którą składają się: strój, kareta, salony. Dla siebie

to więc— w celu zdobycia oprawy dla własnéj osoby— macocha, w obec ludzi, wzięła na siebie rolę dobréj i troskliwéj matki, w obec Lucyny postawiła się jako nieubłagana wierzycielka, upominająca się u pasierbicy o podwójną zapłatę.

— Tyś mi dłużna za siebie i za ojca...

Oto były kleszcze, któremi trzymała sumienie Lucyny.

Wyznanie przeto pasierbicy zaniepokoiło ją. Lecz jeszcze bardziéj niepokoiło ją niepojęte zwlekanie z oświadczynami ze strony Armulpha. Bywać, bywał regularnie dwa razy na tydzień; dawał do zrozumienia, że radby pojął Lucynę za żonę; rozwodził się, naprzykład, nieraz nad tem, jak to dla jego dziatek potrzebną jest opiekunka, która by matkę zastąpiła, ale wyraźnie nigdy nie powiedział, iż funkcję tego macierzyńskiego zastępstwa ofiaruje Lucynie. Wprawdzie jéj jako usprawiedliwienie zwłoki służyć mogła żałoba, któréj zaledwie pół roku upłynęło. Lecz żałoba przeszkadzała weselu, nie zaś oświadczynom. Czy uważał je Armulph, jako zbyteczną formalność, bez któréj można się obejść? W takim jednakże razie i sam ślub uważać by należało, jako formalność.

Niepokoiła się pani Julja z tego głównie powodu, że poznała hart duszy pasierbicy, którą zwłoka ze strony Armulpha upoważniała niejako

do angażowania się względem Grzędy. Nie wierzyła ona, ażeby Lucyna nie miała z malarzem stosunków. Przypuszczała więc, że te stosunki od wyznania zajść mogą do dania słowa, czemu zapobiedz mogło jedynie uroczyste względem Armulpha zobowiązanie się. Postanowiła przeto przyspieszyć rzecz, to jest, rozmówić się z Armulphem otwarcie.

Zbierała się do tego dość długo. Zawadzała jéj obecność Lucyny, która jak zwykle bawiła bankiera przygotowanemi z góry i obmyślanemi dyskursami i, jakby domyślając się zamiaru macochy, nie odstępowała go, ani na krok. Odgrywała swoją rolę wyśmienicie. Była jak najgrzeczniejsza i jak najbardziéj uprzejma, ale trzymać umiała kawalera w takiéj odległości, iż ten, ani pisnął w materji, któréj sprowadzenia na języki tak bardzo pani Julja pragnęła. Lucyna odgrywała swoją rolę należycie nawet w przeprawach bardzo trudnych, naprzykład, kiedy macocha wręcz do rzeczy przystępowała. I w takich razach dotrzymywała placu, dosiadywała i rozmowę na inny przedmiot odwracała.

Raz jednakże zmuszoną została opuścić towarzystwo. Działo się to z następującego powodu:

Armulph przyjechał w nadzwyczajnie dobrym humorze i zaledwie się przywitał, zawołał:

— Muszę też się paniom pochwalić. Zrobiłem szwietny nabytek, szwietny w całém znaczeniu. Kosztować mnie to będzie jeden tysiąc dukatów, ale mniejsza o to. *Ja* w takich razach na pieniądz nie patrzę...

Tu zatrzymał się na chwilkę, z któréj korzystając pani Julja, wsunęła:

— Pana cały świat ma za nader hojnego...

— Ja na pieniądz nie patrzę. Tysiąc dukatów rzucić, to dla mnie nic. Ale panie nie wiedzą, jaki nabytek zrobiłem. Nabyłem dwa obrazy: mój portret i jeszcze jeden, znakomitego pendzla, bardzo znakomitego. Obrazy jeszcze nie skończone, ale już zamówiłem. Widziałem się z malarzem, umówiłem się z nim, udzieliłem mu kilka moich własnych pomysłów i nawet chciałem dać zadatek, lecz on nie przyjął. Dziwak! Ale znakomity malarz, bardzo znakomity. Nazywa się Kszenda...

Owóż to nazwisko wypędziło Lucynę z saloniku, w którym wygodnie na kanapie, niby trochę jak u siebie, rozsiadł się Armulph. Zrobiło się jéj słabo, tak z powodu tych pochwał, których wolałaby nie słyszeć, jakoteż z powodu wymówienia, chociaż z przekręceniem, nazwiska, które ona czciła jak świętość.

Z oddalenia się Lucyny skorzystała pani Julja. Armulph jeszcze rozwodził się nad znako-

miłością malarza. Ona mu bez ceremonji przerwała.

— Pan jesteś człowiekiem szlachetnym i wspaniałomyślnym... zaczęła.

— Co? ja?... O! ja nie potrafiłbym być nie szlachetnym i nie wspaniałomyślnym... Taka moja natura...

— Pan zrozumiesz troskliwość matki...

— Ja wszystko rozumiem...

— Chcę więc z panem rozmówić się otwarcie...

— Może pani potrzebuje pieniędzy?...

I sięgnął ręką w zanadrze zapewne po pugilares; lecz pani Julja powstrzymała jego rękę.

— O, nie, panie... Otwartość moja tyczy się czego innego; mianowicie losu mego przybranego dziecka... Ale, muszę pana pierwéj zapytać: czy nie będziesz mi miał za złe otwartości?...

Zapytanie to zrobiła wzruszonym głosem. Armulph odpowiedział:

— Ja?... nigdy... Chyba mnie pani nie znasz?.. Ja sam otwarty... Taka moja natura...

— Owóż, powiem panu, że los Lucyny zakwestjonowanym jest bywaniem pana...

Głos pani Julji lekko drżał. Armulph nie zrozumiał o co chodzi i wpatrzył się na nią szeroko otwartemi oczami.

— Ludzie mówią, że się pan o nią starasz...

Wyraz „ludzie” był dyplomatycznym wybiegiem.

— Ja staram się, odparł bankier — bo ten poczciwy Jagniewicz nie potrafiłby sam...

Téj odpowiedzi nie zrozumiała Julja, więc z kolei szeroko otwartemi oczami wpatrzyła się na Armulpha.

— Więc ja go wyręczam... Bo to poczciwy człowiek, ale przy płci pięknéj wielbłąd... Więc ja wziąłem na siebie wyswatanie panny Lucyny za niego...

Policzek, dany człowiekowi drażliwemu w punkcie honoru, plunięcie w oczy dostojnikowi głęboko przeniknionemu uczuciem własnéj powagi, spadnięcie z nieba na ziemię, niczem w porównaniu ze zmieszaniem, jakie nagle owładnęło panią Julją. W myślach jéj zrobił się raptem chaos, w uczuciach powstało wrzenie, zakipiała, krew jéj napłynęła do głowy i... odpłynęła, zbladła jak ściana i zamigotała oczami.

Armulph, pomimo, że chwalił się, iż wszystko rozumie, nie zrozumiał tego, co zawiedziona w świetnych nadziejach kobieta twarzą i oczami powiedziała i najdobroduszniéj w świecie ciągnął daléj:

— Ja jestem taki człowiek, żem dla poczciwych ludzi wszystko gotów zrobić. A Jagniewicz jest bardzo poczciwy, powiadam pani, bar-

dzo poczciwy, jedyny na męża dla panny Lucyny. Przy nim żona będzie robiła co zechce, byle tylko do jego worka nie zaglądała. Ale, co tam, jego worek!... Pannie Lucynie nie zabraknie na pieniądzach. Będzie miała ile zechce. Jeżeli się tylko będzie rozumnie prowadziła, to ja w tem, ja, że braku nie dozna...

Nie słyszała tego pani Julja. W uszach jéj bębniło i szumiało. Przez czas jednakże, gdy bankier mówił, odzyskała przytomność umysłu i tyle na sobie wymogła, że pohamowała spazmatyczny wybuch, który w niéj nakształt miny nurtował. Pohamowała go siłą woli. Ułożyła twarz do spokoju, usta do uśmiechu i odpowiedziała:

— Bardzo panu dziękuję... Wysoko cenię pańską życzliwość dla panny Lucyny... Lecz ośmielam się prosić pana: niech pan nic jéj o tem jeszcze nie wspomina... Nie trzeba spieszyć... Lucyna teraz w żałobie, a przytem... jeszcze ona młoda... Potrzeba, ażebym ją najprzód sama wyrozumiała i przygotowała...

Na to weszła Lucyna z śladami łez w oczach i z uśmiechem na ustach. Armulph połączonemi gestami rąk i ócz zatelegrafował do pani Julji, że się zgadza na zwłokę i zapytał Lucynę, co ona robiła na osobności.

— Rozmyślałam nad znaczeniem weksla...

I potoczyła się rozmowa o wekslach.

XIII.

Nasz bohater wrócił do domu niby zmyty. Dowiedział się, że jest kochanym, ale na razie wolałby może się dowiedzieć, że jest niekochanym. Dostał mu się fant, z którym nie wiedział co robić. Z miłości bowiem, pomimo że miał on o niéj wysokie wyobrażenie, zawsze jednak przeglądała dla niego miłostka, to jest, jéj strona — że tak się wyrażę — dotykalna, namacalna, złożona z westchnień, spojrzeń, szeptów i... uścisków. On, artysta, przedstawiał sobie miłość nie inaczéj, tylko pod protekcją skrzydlatego chłopca, strzelającego z łuku dla igraszki i dla igraszki rzucającego postrzelonych w objęcia. Ta więc surowość i powaga wprawiły go w nieopisany ambaras.

Rozwaga jednakże z ambarasu go wyprowadziła. Lucyna przedstawiła się mu — że użyję tego porównania — jako dająca wszelkie rękojmie hipoteka, umieszczone, na któréj serce znajdowało się w zupełnem bezpieczeństwie. Od miłości przeto jego odpadły miłostki, owe drobne zabiegi, mające na celu przytrzymywać pierzchliwą za piórka. Poznał, że nie ma po co

chodzić pod parkan, ale oraz, że spadło na niego zadanie, stać się jéj godnym.

Poszedł jednakże raz, drugi i trzeci, ale napróżno. Lucyna nie wychodziła do ogrodu.

Chciał do niéj napisać — pomyślał i nie napisał.

— Gdybym był na jéj miejscu — tak się myśl jego sformułowała — to powiedziawszy „kocham,” czułbym się obrażonym, gdyby ten, komu to wyznanie zrobiłem, kontrolował mnie listami i ukradkowemi odwiedzinami... Gdyby chciała, ażebym ją odwidzał jawnie, byłaby mi powiedziała... Ona mnie kocha: dość tego dla mnie... Reszta? zrobi się...

„Zrobi się” — znaczyło, że Lucyna powie mu „przyjdź.”

Pozostawało tylko, ułatwić jéj to powiedzenie. Prospera adres nie był znanym. Wiedziano w mieście o „znakomitym” malarzu, lecz ta znakomitość ukryła swoją pracownię w miejscu nie dostępnem i z tego zapewne powodu była tem większą: otoczyła ją bowiem mglista tajemniczość, która ma swój urok. Usunąć ową tajemniczość, było bardzo łatwo. Jeden anons w gazetach sprowadził by pomimo schodów i galerji do pracowni Prospera tłumy i uwiadomił o jego adressie Lucynę. Lecz tłumy odrywały by go od pracy, a odrywanie przeszka-

dzało by mu stać się godnym miłości, która w jego wyobrażeniu do rozmiarów majestatycznéj urosła piękności. Więc, dla zadość uczynienia téj ostatniéj, wziął się do obrazu, ażeby po ukończeniu dopiero tego malowidła, wystąpić przed publicznością. Mówił sobie w duchu:

— Ona da mi miłość; ja jéj, miłość i w dodatku sławę...

I pracował — pracował bez wytchnienia. Professor edukował pchły, on nie odstępował od sztalugi. Obraz rósł pod jego pendzlem, coraz to więcéj nabierał wyrazu i życia, coraz to mocniéj uwydatniała się w nim głęboka myśl, którą Prosper wydobywał z płótna z miłością, spotęgowaną tą drugą miłością, która jakby stała nad nim i napędzała:

—Daléj!... naprzód!... daléj!... chcę od ciebie arcydzieła...

Jedynem wytchnieniem, na jakie sobie pozwalał, było odwiedzanie sąsiada, który posiadał fotele i kanapy na sprężynach. Wychodził do sieni, wyciągał się aż w ramionach trzeszczało, otwierał ostrożnie drzwi od akademji, wchodził i rzucał się na fotel lub kanapę. Profesor wykładał mu tajemnice swojéj sztuki i swego świata. Mówił z akcentem człowieka zadowolnionego swoim losem.

— Pchła, panie, takie mizerne, malutkie stworzeńko, może dać to, za czem tyle ludzi napróżno goni:... szczęście... Nie skończyłbym, gdybym zechciał wyliczać przed panem wszystkie chwile szczęścia, jakich od piętnastu lat doznałem... Nie potrafiłbym opisać panu uniesienia mego, gdym odkrył pojętność w Julce...

— W jakiéj Julce?...

— W téj, co z niéj, na mnie skoczyła. Nazwałem ją Julką na pamiątkę jéj... Ona już od dawna nie żyje...

— Co za ona?...

— Pchła... ta druga Julka, bo o tamtéj nic nie wiem... Tamta wyszła za mąż za bogatego szlachcica, a ta została ze mną do śmierci... Sprawiłem jéj pogrzeb z wojskowymi honorami i złożyłem ją w trumnie, która stoi ot tu...

Pokazał malutką alabastrową urnę, a w niéj trochę delikatnego białego puchu, na którym widzieć się dawał czarny punkcik.

— To jéj zwłoki... nabalsamowane...

Z urny, po odkryciu jéj, rozeszła się woń na cały pokój.

Professor wpatrzył się w czarny punkcik ze łzami, po chwili westchnął, nakrył urnę i postawił ją na pulpicie.

— Można być szczęśliwym, byle tylko na właściwą trafić drogę... na drogę odpowiednią usposobieniu człowieka...

— Pan więc usposobionym jest do uczenia pcheł... zauważył Prosper.

— Nie... Do rozkazywania... Uczenie jest tylko środkiem, za pomocą którego, wprawiam pchły w posłuszeństwo...

— Możliwe tylko ze zwierzętami...

— Tak... To też do tego doszedłem przekonania, że człowiek istotnie szczęśliwym może być tylko w otoczeniu zwierząt, bo tam wola jego nie zna granic... Patrz pan...

Otworzył kilka pudełek, stojących rzędem na biało okrytym stole i zakomenderowawszy „marsz!” dał znak malutkim dzwoneczkiem. Na ten znak z pudełek wyroiły się pchły. Zakomenderował: „w bataljonowe kolumny, formuj się!”. Pomiędzy pchłami zrobił się ruch, z którego po chwili wytworzyło się trzy kwadraty, każdy w ośm szeregów.

— To jest pułk z trzech bataljonów, to pułkownik ze sztabem...

Tu pokazał trzy pchły, stojące nieco opodal przed frontem środkowéj kolumny.

— Widzisz pan?... Nie mam że być dumnym, nie mam-że być szczęśliwym, żem doprowadził pchły do takiéj doskonałości i takiego posłuszeństwa!... Z niemi, czuję się panem, królem, samowładcą...

— Cóż z tego za pożytek na teraz, lub na przyszłość?... zapytał Prosper.

— Pożytek?... odparł professor i ramionami ścisnął. Gdy pokazuję te cuda ludziom, zbiegają się, dziwią i płacą. To dla mnie... A dla ludzi? chwilka zapomnienia... Oto i pożytek, nie licząc w to tego zadowolnienia, które stanowi osobiste moje szczęście... szczęście, któremu jednéj tylko rzeczy brak, a to, zemsty... Chciałbym jéj (tu podniósł głos) jéj, która wiedziała, że ją kocham i z sercem mojem igrała, jak kot z myszą, pokazać, żem potrafił stworzyć sobie szczęście bez niéj... O! gdybym się mógł na niéj zemścić!...

Owo pragnienie zemsty wyrażał przy każdéj sposobności. Prosper miał go za pewien rodzaj fiksata, którego umysł kręcił się w zaczarowanem kółku. Słuchał go więc jednem uchem. Wyleżawszy się w fotelu, lub na kanapie i wyprostowawszy skurczone przy malowaniu członki, powracał do malowania.

Malował bez przerwy, wyjąwszy, że dwa razy musiał się oderwać. Raz na wezwanie księcia, który go listownie zaprosił do siebie.

— Prosiłem cię, rzekł, gdy malarz wszedł do niego — dla tego, że Armulph rozbija się za tobą po mieście... Był u mnie kilka razy, dopytywał się o twój adres i wiem, że dopytuje się

wszystkich. A wiesz, ponieważ następstwo dopytywania przewidzianem jest przez pismo święte „szukajcie a znajdziecie,” jeżeli przeto chcesz następstwa tego uniknąć, to zakołaczmy do drzwi Armulpha, a otworzą nam... Tym sposobem zabezpieczysz się przeciwko wizycie bankiera...

— A toć chyba skaranie boskie, to dopytywanie się o mnie tego Krezusa!... odparł Prosper.

— W publiczności naszéj zawiała moda na ciebie. *Vox* salonowego *populi* wrzeszczy w niebogłosy, żeś znakomity. Ten jest powód bardzo naturalny, dla którego bankier pragnie do twojéj zajrzeć pracowni... Lecz próżność jego bardziéj będzie zadowolnioną, jeżeli zajrzysz do niego i kiwniesz bez znaczenia głową przed paru obrazami, rozwieszonymi na ścianach jego salonów...

— Ha! to niechże tak będzie... Chodźmy...

Poszli. Dziesięć tysięcy na jednego takich jak książe panów, nie odważyło by się przebyć piechotą przestrzeń dość znaczną, dzielącą pałac księcia od kamienicy bankiera. Nie daremnie uchodził za dziwaka. W długim bajowym surducie, w czapce z daszkiem trochę już wytartéj, z sękatą laską w ręku, ten wielki pan kroczył

obok Prospera, ubranego także nie tak, ażeby strój jego mógł ujść gdzie indziéj, jak w przedpokoju i to nie na poczestnem miejscu.

Zapukali — otworzono im. Lokaje w aksamitnych frakach i jedwabnych pończochach z pogardą na nich spojrzeli. Żaden nie raczył nawet zapytać, co oni za jedni.

— Czy pan Armulph w domu?... zapytał książe.

— Nie ma go w domu... była odpowiedź, rzucona przez jednego z ugalonowanych.

— Czy doprawdy nie ma, czy to tylko tak żartem, kochanku, powiadasz?...

— Jeżeli jest, to nie dla waszeci i jemu podobnych...

Po téj odpowiedzi wszyscy lokaje odwrócili się do nich plecami. Prosper zakipiał i posunął w celu ujęcia którego za kark i zwrócenia twarzą ku sobie. Lecz książe powstrzymał go gestem, wyjął z zanadrza pugilares, z pugilaresu kartę wizytową, małą kopertę i ołówek. Kartę włożył do koperty, zakleił, ołówkiem napisał adres i zaszedłszy jednemu z lokajów z przodu, poprosił go bardzo grzecznie, ażeby ten bilecik zechciał wręczyć swemu panu. Lokaj ofuknął się na natrętów, ale poszedł.

— Widzisz, co to jest lokajstwo— rzekł książe półgłosem do towarzysza, czekając przy pro-

gu na odpowiedź. Niestety! przenikło ono na wskróś nasze społeczeństwo. Jednakże i pomiędzy tymi gadającymi bałwanami zdarzają się ludzie i to częściéj w prawdziwéj, niż w przerwanéj liberji...

Ledwo ostatni dokończył wyraz, do przedpokoju wbiegł Armulph i wbiegłszy zawołał:

— Jasznie oszwiecony książe! Co za szczęście dla mnie!...

I kłaniał się i zapraszał.

Ogłupienie pomiędzy lokajami stało się wielkie.

— Przychodzę do pana z panem Grzędą, malarzem...

— Ach!... tym znakomitym!!... zawołał Armulph, podając Prosperowi rękę. Jakże się czeszę!... Jakżem szczęszliwy!... Proszę panów!...

Wprowadził ich do salonu, tego samego w którym czytelnik widział Lucynę z matką, i nadskakiwał, sypiąc grzeczności jak z rękawa, a wysypawszy ich liczbę nie małą, rzekł, zwracając się do Prospera:

— Ja szukałem pana po całem mieście...

— Trudno mnie odszukać...

— Ja chciałbym z panem pomówić, tylko (tu zwrócił się z uśmiechem do księcia) nie przy jasznie oszwieconym kszenciu, który jest stroną tak samo, jak ja interesowaną...

— Może i nie tak samo, odparł książe. O cóż chodzi?..

— O nabycie, o zamówienie u pana malarza paru malowideł...

— Jeżeli o to, to licz pan na moją bezinteresowność...

— Ja jestem takim samym, jak jasznie oświecony książe amatorem...

— To nic nie przeszkadza, ustępuję panu pierwszeństwa...

— Kiedy tak, to dziękuję, bardzo serdecznie jasznie oszwieconemu księciu dziękuję...

I z akcentem dobrego tonu podał księciu rękę.

— Ale pierwéj muszę panom pokazać mój zbiorek malowideł, niewielki zbiorek, ale jest co widziéć... Sam osobiście wybierałem... Kosztuje mnie tysiące dukatów... Służę panom.

I poprowadził ich wprost do tego samego obrazu, od którego przed kilku miesiącami rozpoczął był oprowadzanie pani Julji i panny Lucyny.

— Poznają panowie tego człowieka?..

— Pański portret, odparł Prosper.

— A co!.. zawołał z dumą. — Jakże malowidło?..

Prosper kiwnął głową z uśmiechem...

— Nie tylko podobieństwo, ale co za sztuczna robota?.. Gdziekolwiek stanąć, czy wprost,

czy z prawéj strony, czy z lewéj, wszędzie on się patrzy... Co to za robota!.. Zapłaciłem za ten obraz trzysta pięćdziesiąt dukatów brzęczącą monetą...

Ostatnie wyrazy wymówił z przyciskiem i...

Ale wolę odesłać czytelnika do VIII niniejszéj powieści rozdziału. Scena bowiem oprowadzania powtórzyła się jota w jotę i słowo w słowo, z tą jedynie różnicą, że kiedy stanął przed trzema portretami, to nie było już tam trzech, tylko dwa, co on w następujący wytłómaczył sposób:

— Tu gdzie teraz wisi Napoleon III, wisiał pierwéj ja, ale ja chcę Napoleona III zdjąć, a pomieścić znów siebie...

I zwracając się do Prospera, dodał:

— I właśnie z tego powodu chciałem się z panem rozmówić... Chciałbym, żebyś pan mnie wymalował..! Ja nie żałuję pieniędzy...

Książe szturchnął Prospera w bok, gdyż temu, na wzmiankę o pieniądzach, płomienie do głowy uderzyły i, bez tego szturchnięcia, byłby może bryznął bankierowi w oczy jaką obelgą. Armulph ciągnął daléj:

— Ale chciałbym także nabyć u pana i ten obraz, co go pan teraz malujesz...

Prosper zrobił minę taką, którą można było tłómaczyć, jako powątpiewanie w doniosłość chcenia.

— Niech pan nie myśli, żebym się oglądał na pieniądze. Ja prawdziwy amator... Tylko chciałbym udzielić panu niektórych swoich pomysłów...

— A?.. zapytał książe.

— Pamięta pan, jak gdy ten sobie w łeb wypalił, ja tuż obok stałem, ot tak...

Tu stanął, nogę lewą wyciągnął naprzód, brwi zmarszczył marsem, głowę nieco przekrzywił i prawą rękę podniósł do góry, jakby zamierzał kogo kułakiem trzasnąć.

— Otóż w takiéj pozycji niech mnie pan wymaluje, a przedemną trup, a za mną polonez, a na prawo swiczki, a na lewo... co na lewo?... ach! okno... To będzie zgruppowanie szwietne...

— Wyborny pomysł... rzekł książe ironicznie.

— Nie prawdaż, że wyborny!.. zawołał bankier w uradowaniu. Kiedy książe mówi, że wyborny, to pan nie ma co mówić... Cóż pan za te dwa malowidła zechcesz?..

— Drogo... odrzekł Prosper także ironicznie.

— Przecie?!.

— Tysiąc dukatów...

— O! masz pan zadatek... i sięgnął do pugilaresu.

Prosper odskoczył, jak szatan od wody święconéj.

— Ten pan zadatków nie bierze... zauważył książe łagodnym tonem. Jeżeli zrobi, a panu robota jego się podoba, wówczas pan zapłacisz. Tuzinkowi tylko malarze zadatki chwytają...

— No, to dobrze, to niech i tak będzie... Tylko bym chciał dać panu malarzowi jeden z moich portretów na model... dla zachowania podobieństwa twarzy, ażeby każdy kto spojrzy mógł od razu powiedziéć, to Armulph...

— I fotografja tę samą odda usługę...

— Ach! prawda!..

Wyszedł pośpiesznie z salonu i po chwilce powrócił, niosąc w ręku ogromny pakiet własnych fotografji. Fotografowanym był najmniéj sto razy, a za każdym razem w innem upozowaniu. Było w czem wybierać. A że do wybierania nie było czasu, więc, wyjąwszy popiersia, dał Prosperowi trzydzieści kilka sztuk fotograficznych kart, przedstawiających go rozmaicie w całéj postaci.

— Jeden wszakże warunek wymawia sobie pan Grzęda, rzekł książe będąc już na odchodnem. Znieść nie może, kiedy go w pracowni odwiedzają...

— O! a ja właśnie chciałem prosić pana o adres... i wybierałem się do pańskiéj pracowni jutro...

— Niech pan się nie trudzi... odparł Prosper. Potrzebuję do malowania samotności...

— Postanowił pan Grzęda otworzyć swoją pracownię, gdy obraz będzie ukończonym... dodał książe.

Prosper skinieniem głowy potwierdził wyrazy księcia.

— Kiedyż będzie ukończonym?.. zapytał Armulph.

— Dam panu znać... odparł książe— i panu i wszystkim miłośnikom sztuki... Pójdziemy razem... Będzie to niby odkrycie posągu... Zrobimy sobie artystyczną uroczystość, która powinna się zakończyć... obiadem na cześć artysty...

— Wybornie!.. zawołał Armulph. Ja się tylko dziwię, czemu ten szwietny pomysł nie przyszedł na myśl mnie...

— Bo zaprzątnąłeś pan umysł pomysłem do obrazu... rzekł książe z uśmiechem.

— Ach, tak!.. ciągle myszlę o tym obrazie... Ja, a przedemną trup, a za mną polonez, a na prawo swiczki, a na lewo okno... Tylko tak pan wymaluj, żeby mnie każdy mógł od razu poznać, a już ja w tém, dodał stukając palcem po własnéj piersi i nadając oczom znaczący wyraz, że ten obraz na wystawie paryskiéj będzie i premję

dostanie... Ja mam w Paryżu znajomości i wpływy...

— O to osioł przez wielkie *o!*.. o to hebes przez wielkie *h!*.. powtarzał Prosper, gdy się znalazł z księciem na ulicy. O to protektor sztuki!..

— Duch postępu kpów takich spytluje na otręby... rzekł książe spokojnie.

— Kiedyż to nastąpi? na miłość Boga! kiedy? zawołał Prosper.

— Przyspieszenie tego czasu zależy od ciebie i tobie podobnych... odpowiedział książe i na rozstaniu już dodał:

— Ale, ale... Od dziś za tydzień sprzedaż z publicznego targu ruchomości po nieboszczyku Ciołeckim... Warto, ażebyś tam był...

— A ja-ż po co?..

— Będzie tam kilka przedmiotów sztuki i dużo pamiątkowych pozostałości po pannie Lucynie...

— Aha!..

I popędził nasz malarz szybkim krokiem do domu.

XIV.

Równo w tydzień po wizycie księcia i Prospera u Armulpha, w domu nieboszczyka pana Stanisława, w którym dotychczas panowała iscie grobowa cisza, zrobił się ruch i gwar, którym towarzyszył ponawiający się co kilka minut łoskot bębna i ciągłe monotonne wywoływanie wydelegowanego do sprzedaży urzędnika.

Sprzedaż rozłożoną była na trzy kategorje: sprzętów i naczyń, meblów, ozdób i przedmiotów zbytkownych. Pierwsza odbywała się od ósméj rano do południa, druga i trzecia po południu.

Przed południem kupującymi byli drobni handlarze i ubodzy ludzie, po większéj części mojżeszowego wyznania, łakomiący się na kuchenną miedź i próżne butelki, odbywała się ta na podwórzu.

Po południu fizjognomja handlu się zmieniła. Dom został otwarty. Pojawiły się przed gankiem zajeżdżające karety i faetony, z których wysiadali panowie i panie, mniejszość dla nabycia czegoś, większość przez prostą ciekawość, w celu oglądania miejsca, w którem się odbył

głośny w swoim czasie i ciągle w głośności przez miłośników malarstwa utrzymywany wypadek. Posadzka krwią zbroczona była magnesem, pociągającym czarne, modre, siwe i różne inne pięknych pań oczy? W *London Tower* przechowują pień, na którym odrąbana została głowa Marji Stuart. Jest to pień niczem się nie odznaczający,— zwyczajny kawałek drzewa. A przecież od ilu to lat, ile to ludzi chodzi oglądać tę szczególność! Nic przeto dziwnego, że przyschła do posadzki krew samobójcy ściągała ciekawych, pod pozorem kupna. A było dużo i takich, którzy przychodzili po to, ażeby, opatrzywszy teatr wypadku, przysposobić się do krytykowania obrazu, który miał być przez Prospera wymalowanym.

Schodziło się więc dużo osób i oglądało wystawione na sprzedaż przedmioty. Pomiędzy tymi były i ładne rzeczy, nie tak wszakże, ażeby warto było długo na nich uwagę zatrzymywać. Jednakże, nie mając co lepszego do roboty, gapili się panowie, gapiły się panie, chwaląc to, ganiąc tamto, zachwycając się owem. Znajomi spotykając się, tworzyli gruppy, rozmawiali i śmieli się. I tak, sformowała się gruppa znajoméj nam złotéj młodzieży, daléj gruppa, któréj słońcem był Armulph, a planetami Jagniewicz, państwo Praweccy i wielu innych; daléj gruppa

w którój rej wodziła jakaś młoda i ładna brunetka i t. d., i t. d. Książe chodził samotnie, póki nie przyłączył się do niego Prosper.

Wejście tego ostatniego dało hasło baczności. Wyraz „Grzęda” przebiegł po wszystkich gruppach, obił się o uszy wszystkich samotnie chodzących i uwagę wszystkich zwrócił na malarza.

— Przyszedł studiować...

Zaciekawiła się publiczność, a ciekawość do wyższéj jeszcze podniosła się potęgi, gdy do Prospera przyszedł Armulph i począł mu głośno przypominać różne szczegóły poloneza.

— On wystrzelił tu, i pokazywał palcem miejsce; tu, ukląkł i strzelił... A ja stałem tu, zerwałem się i rękę podniosłem tak... To bardzo ważne... bardzo effektowne...

Prosper kiwał głową, uśmiechał się i włosy sobie na głowie palcami w tył czesał.

W publiczności byli tacy, co na niego z przekąsem patrzyli, ale byli i tacy, co na jego czole piętno gienjuszu widzieli. Szczególnie czesanie palcami włosów długich miało w sobie coś gienjalnego.

Prosper niedługo w towarzystwie bankiera pozostał. Pożegnał go i poszedł — i zbliżył się do jednego ze stołów, przy którym książe z wielką uwagą jakąś książkę przeglądał. Książka

była podłużnego kształtu, w *chagrin* oprawna, z klamrami i złoconemi brzegami.

— Album?.. zapytał.

— Patrz-no... odparł książe.

Spojrzawszy na otwartą stronnicę i popatrzywszy przez chwilę, malarz nie mógł powstrzymać okrzyku podziwienia, który mu się mimowolnie wydarł z piersi i głośny objawił. Wyrwał album z rąk księcia i począł przewracać kartki z oznakami żywego zajęcia, wyrażonemi w taki sposób, jakby był sam, i nikt na niego nie patrzył.

— Ach!.. Aha!.. Oho!.. O!.. J!.. No-no!.. i innych mnóstwo wykrzykników sypało się mu z ust, a wykrzyknikom towarzyszyły uśmiechy, głośne chychotanie i najdziwaczniejsze wykrzywiania. Już i tak zwrócona publiczności uwaga na Prospera, jeszcze bardziéj zwróciła się na niego, a przez niego na album, będącem nie czem innem, jeno znajomemi czytelnikowi „Ćwiczeniami" Lucyny. Gruppy poczęły się zbliżać. W salonie, w którym to się działo, zaczęło się robić ciasno.

— Co kosztuje to album?.. zapytał Prosper urzędnika dozorującego sprzedaży.

— Można się o tem dowiedzieć z rejestrów podług numeru, odpowiedział zapytany.

— Cena musi być wysoka, bo to arcydzieło... rzekł Prosper do księcia. Rysunek doskonały,

talent znakomity... Ja pieniędzy nie mam, to oczywiście nie kupię, ale ty, książe, nie puść tego z rąk, bo szkoda by była niepowetowana, gdyby się jakiemu profanowi dostało...

— Ja nie puszczę!.. zawołał ktoś z tłumu.

Był to głos Armulpha, który się cisnął do stołu.

Urzędnik tymczasem, przejrzawszy rejestra, przeczytał numer i zawołał donośnie:

— Album, z napisem „Ćwiczenia,” zarysowane ołówkiem i pastelami... Cena wywołania: jeden złoty polski.

— Co!?.. zapytał Prosper zmarszczywszy brwi, jak by mu kto obelgę w oczy cisnął.

Urzędnik powtórzył dobitnie:

— Jeden złoty polski... Uwaga: Gdyby nie było zarysowanem, byłoby warte trzy ruble. Jeżeliby nikt nie dał ceny oznaczonéj, sprzedać niżéj ceny...

— Osły!... krzyknął Prosper z gniewnym uśmiechem; te „Ćwiczenia” więcéj warte niż cały dom i wszystko, co w nim jest...

— Ja dam czterdzieści groszy!.. podchwycił Armulph.

— Za pozwoleniem.... odezwał się urzędnik. Sprzedaż jeszcze się nie rozpoczęła, a gdy się rozpocznie, to przedmioty wywoływane będą z kolei...

Prosper cisnął album na stół i odrzekł wzruszony i zgniewany.

Po jego odejściu, do stołu przystępywać poczęli ludzie różni, a najprzód redaktorowie illustrowanych pism.

I stało się dziwne w publiczności ożywienie. Każdy i każda, na każdéj niemal stronnicy, znalazł coś co go zajęło. Ten znajomych, tamten krewnych, ów samego siebie. Na jednéj, naprzykład, stronnicy, rzucony był ołówkiem bocian na trzęsawisku, otoczony skrzeczącemi żabami, z których jedną trzymał w dziobie, a innym groził połknięciem. Żaby wyraźnie z gniewu wrzeszczały. W bocianie wszyscy poznali księcia, w żabach różnych pseudo-zasłużonych mężów. Były to portrety charakterów i moralnéj wartości. Na innéj znowu stronnicy stół obsiadły osły, ustrojone według ostatniéj mody. Na stole stały kieliszki szampańskie. Spojrzał na tę stronnicę Adolf i zaczerwienił się, spojrzał Alfons i zaczerwienił się, spojrzał Rudolf, Gustaw, Leon, Adam i każdy się zaczerwienił, a publiczność spoglądała na nich z ukosa i złośliwe zadowolnienia uśmiechy przemijały się po ustach pań i panów.

Z kolei do albumu docisnął się Armulph i z zacięciem znawcy przewracał kartki. I nagle

buchnął mu płomień do twarzy, a tłumiony chychot rozległ się do koła. Wybąknął dwa razy:

— Ja... ja...

Chciał jeszcze coś powiedzieć, lecz głos w gardle mu zamarł, rzucił album, jakby się sparzył i od stołu odstąpił.

Rysunek, który na niego takie wywarł wrażenie, przedstawiał pająka z rozstawionemi sieciami. W sieci pełno pojmało się much. Pająk był portretem bankiera, muchy portretami różnych obojga płci osób, znanych ze stosunków swoich z bankierem. Pomiędzy temi osobami znajdował się i Jagniewicz i adwokat Prawecki, znajdowała się pani Prawecka i kilka jeszcze innych poczciwych kobietek, strojących się w kosztowności podejrzanego pochodzenia. Głupota, próżność, zmysłowość i samozadowolnienie, połączone w jedną całość, były wyrazem tak bijącym, że każdy je czytał, jakby były wielkiemi na wszystkich pająka członkach wypisane literami. Sieć rysownicza nadała złotawy odblask. Muchy więc uplątane były w złoto, ta nóżkami, ta skrzydełkami, ta główką. Jagniewicz cały w nie wlazł, Prawecki brzuszkiem, jego małżonka brzuszkiem i skrzydełkami...

A nie były to rysunki okolicznościowe, zrozumiałe dla tych tylko, którym znane były tajemnice salonów i działające osoby. Bynajmniéj.

Były to obrazki mówiące, opowiadające dzieje śmieszne, bolesne i występne, heroglify czytelne dla każdego i w każdym języku, dziś i jutro i w późnéj przyszłości.

Wyrazy „skandal, paszkwil, oszczerstwo, obelga” poczęły po cichu brząkać tu i owdzie, oburzenie stało się prawie powszechnem, i w zbiorowem całego zgromadzonego towarzystwa przekonaniu stanęło postanowienie, rodzaj wyroku doraźnie, przez opinji publicznéj sąd wydanego:

— Zniszczyć to album....

Każdy wprawdzie chciałby zniszczyć jedną tylko kartkę, a resztę zostawić i na widok publiczny wystawić; lecz — urzeczywistnienie tego chcenia odkładał na późniéj. Na razie w uniesieniu wskazywał na zniszczenie wszystko.

Zniszczyć? — pytanie: w jaki sposób? Należało pierwéj album kupić.

To też, gdy wkrótce potem rozpoczęła się sprzedaż i urzędnik głośno i dobitnie z kolei wywołał:

— Album z napisem: Ćwiczenia, zarysowane ołówkiem i pastylami!... Jeden złoty polski!.. Kto da więcéj?...

— Dwa złote!... krzyknął Armulph.

— Cztery!... krzyknął jeden z redaktorów pism illustrowanych.

— Ośm... krzyknął drugi redaktor.

— Szesnaście!... krzyknął trzeci.

— Trzydzieści dwa!... krzyknął czwarty!...

— Sześćdziesiąt!... odezwał się głos kobiecy.

— Sto dwadzieścia!... poprawił Armulph.

— Dwieście!... krzyknął jeden z redaktorów.

— Czterysta!... podchwycił drugi.

I tak daléj i tak daléj, cena rosła coraz to wyżéj, wyżéj i wyżéj. Pędzili ją zrazu wydawcy pism illustrowanych i wypędzili na pięć tysięcy złotych. Na téj cyfrze kapitulowali, a na ich miejsce wystąpili dostojnicy, zasłużeni mężowie i złota młodzież, podniecani przez stojące w odwodzie, lub na ramionach zawieszone żony, matki, siostry i przyjaciółki. Zaperzony Armulph wszystkim czoło stawiał, narzucając wciąż po sto złotych wyżéj. Tak doszło do dziewięciu tysięcy dziewięciuset złotych.

— Dziesięć tysięcy!... rzekł Armulph, rozpinając, przez zapomnienie zapewne, kamizelkę.

Nastała cisza. Urzędnik po raz pierwszy od wywołania albumu zapytał:

— Kto da więcéj?...

— Nikt... odpowiedział bankier, zapinając kamizelkę. Album moje...

— Tysiąc dukatów... brzękło niby w powietrzu.

Armulph się zająknął. Z ciżby do stołu wysunął się książe z uśmiechem na ustach i rękami w kieszeniach.

— Tysiąc pięćset!... krzyknął Armulph z zapalczywością, wściekłym wzrokiem spoglądając na współzawodnika, który na niego nie patrzał.

— Kto da więcéj?... zapytał urzędnik.

— Nikt nie da więcéj... odpowiedział bankier.

I nagle wściekłość zgasła w jego oczach, zbliżył się do księcia i począł go prosić, mówiąc szybko:

— Niech jasznie oszwiecony książe nie da więcéj. To nie warto. Ja się na tem znam. Ja jestem miłosznik sztuk pięknych i protektor artystów. Ja tyszące wydaję na malowidła. Ale na malowidła, a to przecie mizerne album, ołówkiem zamazane, sąme głupstwa. Tam jasznie oszwiecony książe narysowany jako bocian, a pan radca jako żaba, a hrabia X. także jako żaba i senator Y. także jako żaba, a baron P. w dziobie u jasznie oszwieconego księcia.

Bęben zabrzmiał. Urzędnik powtórnie zapytał:

— Kto da więcéj?...

— Niech jasznie oszwiecony książe nie da więcéj... nie... nie... Ja daję tysząc pięćset dukatów. To dość...

— Dwa tysiące dukatów.... odpowiedział książe.

— No!... zawołał bankier rozpaczliwie ręką rzuciwszy.

— Dwa tysiące dukatów... powtórzył urzędnik. Kto da więcéj?...

Armulph odsapnął, tyłem się cofnął i wtassował się w ciżbę. Zapytanie urzędnika powtórzyło się raz drugi i trzeci. Nikt nie odpowiedział. Album przysądzonem zostało księciu.

Rezultat ten uradował niezmiernie Prospera a zmartwił wszystkich. Panie zwłaszcza wzięły go, jako pewien rodzaj klęski publicznéj. Niebezpiecznemu człowiekowi, stojącemu względem towarzystwa, jak bocian względem żab, dostała się do ręki broń najniebezpieczniejsza — broń śmieszności. A nuż przyjdzie mu fantazja publikować to straszne album! Gdzie w takim razie oczy podzieją różne gąski, małpy, papugi, kotki, sroki, dzierlatki, muchy, jaszczurki, osy, kukułki, gadziny, liszki, pantery, lwice, wiewiórki, pokrzywy, kartofle, pompy, indyczki, sowy, wrony, kozy, butelki, ryby, łasice, trąby etc. etc. etc.?... Sensacja stała się powszechną. Wszyscy niby zwarzeni poczęli się wynosić z domu, do którego weszli z uśmiechem na ustach i ciekawością w sercach. Ciekawość zaspokoili z naddatkiem.

Najgorzéj wszakże dotkniętym był bankier. On, lubiący pochlebstwo do tego stopnia, że sam je sobie sypał, ujrzał się nagle w zwierciadle, które mu bynajmniéj nie pochlebiło. Zachciał

to zwierciadło zniszczyć — nie mógł. Taki bogacz nie mógł dopiąć takiéj bagateli!... To go o mało o apopleksję nie przyprawiło. Zakipiał gniewem i zemstą.

— Ja ją!... ja!... Ja jéj!... ja!... mówił sam do siebie siedząc w karecie i zaciśniętym wymachując kułakiem, kazawszy się stangretowi wieść do dworku pod Zamkowym Widem.

Miał zamiar po prostu wypędzić Lucynę z macochą na ulicę.

Chciał je zrazu wypędzić po grubiańsku, powiedzieć: „precz z mego domu!” Lecz się rozmyślił, że lepiéj będzie zrobić to z całą grzecznością.

— Niech panie raczą opuścić mój dom... Ta (czytaj Lucyna) nic na to nie powie, ale stara się rozgada: „pan taki szlachetny, taki wspaniałomyślny.” Ja jéj powiem powtórnie, niech panie raczą opuścić mój dom. Ona mnie zapyta: „dla czego?...” Dla tego, że pająk zrywa sieć i wypuszcza muchy...

I zaśmiał się głośno, klasnąwszy dłonią po nodze:

— Cha cha cha!...

Szczęście dworek pod Zamkowym Widem leżał dość daleko. Trzeba było jechać pół godziny. Przez ten czas bankier wciąż myślał i w myśli rachował. Powodem do rachowania były owe

czterdzieści tysięcy złotych za album. Wiedział on, ile długów ciężyło na domie. Długi przechodziły wartość, ale nie o czterdzieści tysięcy. Po spłaceniu więc takowych pozostawała pewna kwota, która naturalnie dostawała się nie komu innemu, tylko Lucynie. Kwota ta mniéj więcéj wynosiła dwadzieścia tysięcy.

— Przeklęte album!... syknął przez zęby.

Wypędzenie przeto na ulicę kobiet posiadających dwadzieścia tysięcy, byłoby prostą psotą, objawem bezsilnéj zemsty, objawem kompromitującym Armulpha, a nie dotykającym do żywego Lucyny.

Człowiek rachunkowy, rachował daléj. Przebiegł myślą cały przebieg licytacji albumu. Przypomniał sobie wydawców pism illustrowanych, którzy dawali pięć tysięcy. Zapytał: ile album zawierać mogło kart? — trzydzieści, czterdzieści. Wziął czterdzieści. Pięć tysięcy podzielił na liczbę kart i otrzymał sto dwadzieścia pięć.

Za każdą więc kartę z osobna, czyli, za każdy rysunek wydawcy dawali sto dwadzieścia pięć złotych — to znaczyło, że Lucyna miała chleb w ręku, miała sposób do życia, mogła co tydzień zarobić najmniéj — licząc jeden na tydzień rysunek — sto dwadzieścia pięć złotych. Pomnożył sto dwadzieścia pięć na pięćdziesiąt dwa, wypadło mu sześć tysięcy pięćset rocznego docho-

du, zapewnionego z góry dla téj, którą pragnął w nędzę wtrącić.

Nie na tem koniec. Przyszło mu na myśl: a jeżeli wypędzona zechce mu zemstą za zemstę odpłacić i zacznie go chłostać karykaturami!..

Uczuł się bezsilnym. Obezwładnił go książe, na którego intencję zębami zgrzytnął.

Taki jednakże człowiek jak Armulph nie ustępuje od razu, zwłaszcza, gdy ma zemstę za podnietę. Pomyślał przez chwilę i uśmiechnął się. Wynalazł sposób zemszczenia się lepszy, niż wtrącenie w nędzę, a to: palenie ofiary na powolnym ogniu.

— Wydam ją za Jagniewicza... rzekł powoli, patrząc wesoło przez okno karety — a przez to, wytrącę jéj z ręki ołówek i zrobię z nią co mi się podoba... Ha!... ha!...

W téj chwili kareta wjechała w podwórze dworku i zatrzymała się przed gankiem. Armulph wyskoczył w najlepszym humorze, pósuwisto wkroczył do saloniku i szarmancko powitał panią Julję.

Pani Julja w owym czasie spuściła z tonu. Po rozmówieniu się z bankierem o Lucynę poznała, że i siebie i pasierbicę wprowadziła w fałszywe położenie, że nie słuchając Lucyny zbłądziła — poznała to wszystko, lecz, do wyjścia z fałszywego położenia i naprawienia błędu, po-

trzeba było determinacji, któréj nie miała. Determinacji nie miała, bo się lękała nędzy. Perspektywa niedostatku tak ją przeraziła, że uchyliła głowę przed twardą koniecznością i zdecydowała się wydać Lucynę, chociażby za Jagniewicza. Wydać — znaczyło zmusić. Determinacji nie miała na to, ażeby podziękować Armulphowi za opiekę; znalazła ją na to, ażeby poświęcić biedną dziewczynę. Fałszywość położenia mieszkanek zamiejskiego domku była ogromną. Biła ona w oczy panią Julję i strachem ją przejmowała. Póki bowiem była tego przekonania, że Armulph o rękę Lucyny stara się dla siebie, póty w pobycie w jego willi i w życiu na jego koszcie nie widziała nic tak bardzo zdrożnego i nieprzyzwoitego. Gdy się wszakże dowiedziała, że o rękę Lucyny stara się dla Jagniewicza, zdrożność i nieprzyzwoitość, a nawet więcéj niż zdrożność i nieprzyzwoitość stanęły jéj w oczach, niby ciężki wyrzut sumienia. Ciężyła jéj brzydka rola, jaką w całéj téj intrydze mimowolnie odegrywała. Zrzec się téj roli, przez zerwanie stosunków—był to sposób najprostszy wyjścia z fałszywego położenia. Lecz po za tym sposobem, widmem głodu, chłodu i łachmanów na grzbiecie, stawało dla trzydziesto-kilko-letniéj piękności zapytanie:

— Cóż się ze mną stanie?...

Do naprawienia przeto tego złego, innego sposobu nie widziała, tylko: zredukowawszy tymczasem do mniejszych rozmiarów zamiary względem saméj siebie, wydać przybraną córkę za Jagniewicza.

— Wydam ją... a potem?...

„A potem?” był to znak zapytania, który się ubierał w postać bankiera. Czemu by, nie?... Trzydziesto kilkoletnie piękności nie wątpią, o sobie.

Tymczasem przeto Jagniewicz tylko jeden mógł wziąść pannę, osławioną kilkumiesięcznem mieszkaniem w ustronnéj willi bogacza. On tylko jeden był furtką, przez którą z téj willi pani Julja wyjść mogła„w świat. Wyboru nie było. O malarzu, ani myślała. Przedstawiał się on jéj jako chimera, nie przydatna, ani nawet w najgorszym razie.

Armulph doskonale rozumiał to położenie. Dla tego nie miał potrzeby spieszyć się z przeprowadzeniem swego planu. Przeciwnie. Im dłużéj Lucyna pozostawała by nie jako żona, ani narzeczona Jagniewicza, tem mocniéj potęgowała się fałszywość jéj położenia. Dwadzieścia tysięcy, wręczone ze sprzedaży albumu, nic rzeczy nie zmieniały. Taki drobiazg mógł uratować od nędzy wypędzone na ulicę; nie mógł naprawić reputacji otoczonym troskliwością bankiera.

Pani Julja przeto miała interes wydać Lucynę jak najprędzéj; Armulph miał interes zwlekać jak najdłużéj.

W tém nastawieniu się interessów przewaga była po stronie Armulpha, a to głównie dla tego, że już raz pani Julja sparzyła się na próbie przyśpieszenia rozwiązania. On przeto był panem sytuacji i do tego stopnia, że biedna kobieta ze strachem myślała, żeby go czem, broń Boże, nie zrazić, lub nie obrazić. W jego ręku były los i honor jéj i jéj wychowanki. W jego sieci uplątały się i wydobyć się z nich nie mogły. Przypomniała sobie pająka w „Ćwiczeniach" Lucyny. Uznała, że pasierbica odgadła tego człowieka. Przychodziły jéj nawet na myśl klejnoty, które z majątkowego rozbicia uratowała. Czemu ich nie użyła na zapewnienie sobie niepodległego schronienia? Żałowała, że tego nie uczyniła. Był to jednakże żal po niewczasie,— żal, w którym rolę pocieszyciela grało „po tem" ze znakiem zapytania.

Przyjazd Armulpha w niezwykłéj porze zdziwił ją.

— Miałoż by to być po to, ażeby się rozmówić o zaręczyny i ślub?.. zapytała siebie.

Jak spragnionemu przewiduje się wszędzie woda, tak jéj wydało się, że nie innym jest powód jego odwiedzin.

Bankier pytał o zdrowie, o humor, opowiadał o kurzawie na ulicach i czystości powietrza na Zamkowym Widzie.

Weszła Lucyna.

— Jakże pani szlicznie wygląda!.. rzekł. Właśnie tylko co mówiliśmy z mamą o czystości powietrza na Zamkowym Widzie... To powietrze daje paniom zdrowie, ale nie daje rozrywki, a bez rozrywek to i zdrowie może się popszuć... Panie się nudzą...

— O! nie, bynajmniéj... podchwyciła Lucyna.

— Ja wiem, że się panie nudzą— przerwał bankier, i dla tego postanowiłem zrobić paniom dwie propozycje: żeby się panie codziennie przejechały po mieście i żebyście wzięły udział w pewnéj uroczystości artystycznéj.

— Jaki pan grzeczny i dobry!.. podchwyciła pani Julja.

— Dziękuję pani za komplement... ale...

— To nie komplement... przerwała pani.

— Ja wiem, że nie komplement, ale, muszę paniom oświadczyć, że bardzo byłoby dla mnie boleśnie, gdybyście panie moje propozycje odrzuciły... Ja będę bardzo szczęśliwy, jeżeli będę mógł służyć paniom swoim powozem, który codziennie o czwartéj po południu będzie na rozkazy pań... Ja będę bardzo szczęśliwy, jeżeli

panie zechcą uczestniczyć w uroczystości artystycznéj...

Lucynę oblały zimne poty. Zrozumiała bowiem, jakie znaczenie miało przejeżdżanie się po mieście w powozie bankiera. Było to kompromitowaniem się do ostatka, który ludzie wyrażają pod retoryczną figurą miedzianego czoła. Pani Julja odpowiedziała:

— Z prawdziwą wdzięcznością przyjmujemy propozycje pańskie... Są one dowodem troskliwości pana o samotnice...

— O!.. zaczął Armulph.

— Cóż to za uroczystość!.. podchwyciła Lucyna ostro.

— Odkrycie malowidła... Znakomity malarz inaugurować będzie pracownię... Potem nastąpi na cześć artysty obiad, lecz w obiedzie wezmą udział sami tylko mężczyzni, chociaż nie rozumiem dla czego nie miały by wziąść udziału i damy. Ale, taki zwyczaj, przesąd. Musimy przesądom ulegać...

Czytelnik domyśla się, że tak ofiara powozu, jako też propozycja oglądania obrazu, miały źródło swoje w uczuciu zemsty, którem bankier kipiał. Pierwsza w celu dobicia Lucyny do reszty w opinji publicznéj, druga w celu rozdarcia jéj serca przez pokazanie śmierci ojca. Kombinacja ta nie źle była obmyślaną. Armulph z góry cie-

szył się jéj następstwami i mówił do siebie, powracając z dworku:

— Co to, kiedy człowiek ma rozum i umie uniesienie powściągnąć...

Uderzył się dłonią po czole i powiedział:

— Ministerjalna głowa...

XV.

Kilka miesięcy upłynęło i nic nie zdarzyło się takiego, co zasługiwałoby na zaciągnięcie do kroniki wypadków, których historją jest niniejsza powieść. Żadna, ani w osobistości położenia, ani we wzajemnych stosunkach występujących w niéj osób nie zaszła zmiana. Wszystko szło zwykłym trybem, że mógłbym powtórzyć za Karpińskim:

„Wszystko tak jak było,
Tylko się ku starości nieco pochyliło.“

Pochylenie postrzegać się dawało szczególnie na pani Julji, przechodzącéj przez rózgi zgryzot sumienia.

Lucyna z rezygnacją znosiła swój los, pomimo, że i ją robak smutku toczył. Chudła, mizer-

niała, ale podtrzymywała macochę, która często zapadała na zdrowiu, co uwalniało mieszkanki dworku pod Zamkowym Widem od codziennych spacerów w powozie bankiera.

Bankier odwiedzał je jak zwykle, również jak Jagniewicz i jego siostra, pani Prawecka, którą pewien kalamburzysta przezwał po licytacji „*madame de Prawe*,” dodając po przestanku „*cka*.”

Prosper malował. Professor edukował pchły. Złota młodzież „zabijała” czas.

Wszystko szło zwykłym trybem, póki Prosper nie skończył obrazu.

Skończenie obrazu stało się wypadkiem nadzwyczajnym, który poruszył wszystkich prawdziwych i udanych miłośników sztuki. Zagadano o nim po salonach. Adres Prospera krążył z rąk do rąk. W rozszerzeniu adresu złota młodzież kurjerowała, za co w nadgrodę otrzymywała wdzięczne pięknych ustek uśmiechy. Cały modny świat wybierał się na gody, przetrącające monotonność zwyczajnych rozrywek.

We wigilję naznaczonego na otwarcie pracowni dnia, książe odwiedził Prospera i musiał wziąść na siebie rolę rozjemcy w sprawie, którą sam wywołał. Chodziło o zamiecenie izby, przeciwko czemu energicznie zaprotestował professor:

— Ja na to nie pozwolę...

Prosper poparł professora, lecz na przedstawienie księcia zwrócił się do niego z prośbą.

— Powiedzcież, panowie, sami, tłomaczył założyciel akademji, czyż mogę ja tracić!.. Z kurzem wymiecie się tysiące pcheł...

— Tem lepiéj— rzekł książe. Pan wiesz, że do pcheł zastosować się dadzą prawa, którym rodzaj ludzki ulega...

— O! o tem się przekonałem...

— Owóż, przeludnienie szkodę rodzajowi ludzkiemu przynoszące, przynosi szkodę i rodzajowi pchlemu... Masz pan przykład na Anglji i Niemcach.

— Prawda...

— Anglja i Niemcy ratują się emigracją...

— Prawda...

— Więc tę prawdę nie zaszkodziło by zastosować i do zakontraktowanych przez pana pcheł i wskazać je na emigrację... na śmietnik...

Professor dał się przekonać, pozwolił na wymiecenie izby, lecz stracił humor. Uznał prawdę przedstawień księcia, nie mógł wszakże obronić się żalowi za tysiącami, na taki smutny wskazanemi los.

Po wyjściu księcia z Prosperem, pani Pawłowa nie małą miała robotę, nim pracownię do jakiéj takiéj przyprowadziła czystości. Praco-

wała cały dzień do późnego wieczora. Professor zaglądał od czasu do czasu i wzdychał.

Na drugi dzień, o dziesiątéj rano, w wymienionéj i oczyszczonéj pracowni, wystrojony odświętnie, oczekiwał Prosper na gości. Miejsca zrobiło się dużo, wszystkie bowiem sztalugi, posągi i stoliki usuniętemi zostały po pod ściany, wyjąwszy jednéj sztalugi, ustawionéj do światła i przykrytéj zasłoną.

O dziesiątéj przed kamienicą zajeżdżać zaczęły pojazdy i wyrzucać ze siebie panów i panie. Pani Pawłowa osłupiała, gdy ją raz po raz ugalonowani lokaje pytali o pana Prospera Grzędę, malarza. Raz po raz musiała odpowiadać:

— Na czwartem piętrze, galerja na lewo, drzwi z sieni na prawo... A niechże jegomość ostróżnie będzie na schodach, bo tam można kark skręcić lub nogę złamać...

Lecz o tych gościach powiedzieć można słowami Pisma świętego: „wielu było powołanych a mało wybranych.” Większa połowa— co mówię! dziewięć dziesiątych nawróciło od pierwszéj, niektórzy od drugiéj, inni od trzeciéj na schodach przeszkody, a byli i tacy, co doszedłszy aż do galerji nie odważyli się stąpać po drżącym jéj pomoście. Nie obeszło się bez wypadków. Kilka osób musiano znieść na rękach, co taki

rzuciło popłoch, że dostanie się do pracowni Prospera stało się heroizmem.

To też nie wiele znalazło się bohaterów, około trzydziestu osób, pomiędzy któremi dam było tylko trzy, wszystko nam znajome, pani i panna Ciołeckie i pani Prawecka; z mężczyzn: złota młodzież prawie cała, książe, Jagniewicz, Prawecki, bankier i kilkunastu jeszcze.

O wędrówce Armulpha na czwarte piętro, po zbutwiałych schodach i chwiejącéj się galerji, przewodniczącego paniom, możnaby napisać odysseję. Wracał i znów szedł i znów wracał i byłby za żadne skarby świata nie poszedł, gdyby go nie pędziło pragnienie zemsty. Na galerji zwłaszcza, gdy mu zadrżała pod nogami i, spojrzawszy w dół, gdy ujrzał pod sobą przepaść a na dnie téj przepaści kamienny bruk i gdy sobie wyobraził, iż może się zerwać, przejął go dreszcz, wystąpiły mu na plecach zimne poty, puścił Jagniewicza przodem, a sam przemknął na koniuszkach palców i, wpadłszy do sieni, krzyknął:

— Uf!..

W sieniach każdego z przybywających zastanawiał napis na drzwiach na lewo: „Akademja pcheł.” Każdy, ujrzawszy ten napis, zatrzymał się i uśmiechnął.

Nie zatrzymała się i nie uśmiechnęła jedna

tylko Lucyna, dla któréj karta na prawo „Prosper Grzęda,” była niespodzianem zjawiskiem,— niespodzianem dla tego, że bankier, chociaż często mówił o artystycznéj uroczystości, nigdy jednakże nie wymieniał ani nazwiska artysty, ani treści obrazu. Pierwszego nie wymieniał z téj przyczyny, że zapomniał; drugiéj z téj, że chciał ażeby Lucyna bez przygotowania znalazła się w obec bolesnego wspomnienia. Więc, gdy ujrzała na drzwiach „Prosper Grzęda,” drgnęła i weszła do pracowni, pomiędzy zgromadzone tam osoby, „wyglądając dumnie jak Rzymianka wyprostowana, sroga, trochę biała.”

Wielkiem było zdumienie Prospera. Osłupiał, i ani słyszał wyrazów, któremi przemówił do niego bankier. Nie pierwéj zwrócił na nie uwagę, aż ten powiedział:

— Te panie nie znają treści obrazu...

Wiedział malarz o jakim bankier mówi obrazie i od razu zrozumiał, co to za cios straszny byłby dla żony i córki, gdyby im nagle, w obec zgromadzonéj publiczności, pokazać taki obraz. Zrozumiał to i zawrzał oburzeniem. Wrogowi nie odważył by się podobnéj wyrządzić przykrości. Pomyślał sobie:

— Ten bankier jest albo bardzo głupi, albo bardzo zły...

Złota młodzież spoglądała na Lucynę z dwuznacznemi uśmiechy, inni patrzali na nią przez

ramie. Byli to wszyscy dawni jéj znajomi, więc zostali się z nią i jéj matką, witali się nawet grzecznie, lecz z grzeczności téj wiała wzgarda. Tylko jeden książe zbliżył się do nich z serdecznością i zawiązał z niemi rozmowę. Inni ciekawie nastawiali uszy na dźwięk mowy Lucyny i półgłosem robili różne nad nią spostrzeżenia.

Uwaga powszechna zwróconą była na Lucynę i dla tego nikt nie uważał: jakie, wejście do pracowni Lucyny z matką, wrażenie na professora pcheł wywarło. A było to wrażenie dziwne. Najprzód osłupiał, tak samo jak Prosper, następnie cofnął się w głąb izby, w sam kąt, za łóżko malarza, które było tym razem porządnie zasłanem; za łóżkiem przysiadł, jakby się chciał ukryć i, spoglądając na panią Julję, chował twarz w dłonie i po cichu chychotał:

— Chi chi chi... Chi chi chi...

Nikt na niego nie zważał. Chichotanie trwało póty, póki cała publiczność nie skupiła się przed sztalugą, do której przystąpił Prosper w celu podniesienia zasłony. Nastała cisza oczekiwania — cisza tem uroczystsza, że ciekawość zgromadzonych dwa miała przed sobą przedmioty: obraz i Lucynę. Podniesienie zasłony miało na dwa odpowiedzieć pytania: jakim jest obraz? jakie on wrażenie wywrze na Lucynę?

W ciszy nagle zabrzmiała deklamacja:

— Panowie i panie! widzicie przed sobą człowieka nadzwyczajnego...

Oczy wszystkich zwróciły się na deklamującego. Był to professor pcheł.

— Jestem założycielem akademji. Założona przezemnie akademja jest nowym światem. Moje więc znaczenie równa się znaczeniu Kolumba. Panowie i panie! prześwietna publiczności!... jeżeli chcecie o tem się przekonać, przejdźcie tylko przez sień. Tam ujrzycie cuda, o jakich się wam nie śniło, cuda nowego świata. Przejdźcie tylko, więcéj niczego od was nie wymagam, o nic innego was nie proszę, tylko przejdźcie. Nie będziecie żałowali tych kilku chwil. Nie będą one stracone. Proszę... za mną... do akademji... Idę przodem i otwieram przed wami świat cudów i tajemnic... Kto ma oczy do patrzenia, niech patrzy, kto ma uszy do słuchania, niech słucha.

Poszedł. Za nim pogarnęli się wszyscy, wyjąwszy trzech osób: księcia, który za wychodzącemi tłumnie z ironicznym na ustach patrzał uśmiechem, Lucyny, która wpatrzyła się w obraz i Prospera, który stał z zasłoną w ręku.

Położenie tego ostatniego było szczególnem. Odsłonił obraz dla publiczności, która umyślnie po to się zeszła i publiczność znikła, wywabiona przez pchły. Stał więc zdziwiony, zmieszany, wzruszony i zgniewany. Szeroko otwarte oczy

wlepił w drzwi od sieni, niby w oczekiwaniu, że ci co odpłynęli, znów przypłyną.

Oczekiwanie jego było daremnem. Publiczność nie powracała. Tylko przez drzwi akademji słychać było dźwięki dzwoneczka i okrzyki komendy.

Scena rozbiła się na dwie połowy.

W pracowni malarskiej panowała cisza zachwytu, w akademji pcheł brzmiał gwar podziwu.

Professor z zapałem pokazywał istne cuda. Pchły wydawały się stworzeniami obdarzonemi rozumem. Manewrowały jak żołnierze, odbywały spacery, jeździły karetami, tańczyły kadryle, mazury, walce, biły się na szpady, odpowiadały na zapytania, rozwiązywały arytmetyczne zadania. Oczom własnym nie można było wierzyć, tak wszystko było nadzwyczajnem. Professor po każdem przedstawieniu, zapytywał:

— A co, panowie i panie, czy to nie cuda?... czy to nie nowy świat?... czy nie mam się czem chlubić?...

— Prawda, prawda... odpowiadał gwar.

W pracowni nikt nie pytał, nikt nie odpowiadał. Prosper wciąż stał z zasłoną w ręku, niby lokaj z serwetą. Książe oparłszy się plecami o ścianę, utonął w głęboką zadumę. Lucyna patrzała, patrzała — pewien rodzaj uśmiechu, którego uśmiechem nazwać nie można, igrał jéj w oczach i na policzkach.

Znajomym jest nasz przedmiot obrazu. Artysta wykończył go na prawdziwe arcydzieło, przemawiające układem, kolorytem i dyszącą w nim atmosferą. Nędzarz na koniu pędził, ze łzą i z wielką błyskawicą w oku, jakby go wicher gnał błyskawicowy. Twarz jeźdźca młoda, surowa, dumą i boleścią nacechowana, przejmowała widza poszanowaniem. Czytało się w niéj złamaną wielkość, patrzącą w oczy innéj złamanéj wielkości, któréj przedstawicielką była mogiła. Mogiła ta przestraszyła rozpędzonego konia: nie był to bowiem zwyczajny nasyp, lecz wyrosły na ziemi karbunkuł, który ją bolał— którym ona, rozjęczona, skarżyła się przed dziejami. Wpatrując się w obraz, zdawało się, że ucho słyszało tę skargę, — zdawało się, że oko widziało ducha staréj Grecji, zadumanego smętnie nad mogilnemi chwastami. Artysta chwastom umiał nadać życie i mowę— i niebo mówiło i koń mówił i jeździec mówił. Mówienie to, wydzielające się z płótna, było hymnem boleści, wstrząsającym duszę do głębi i pobudzającym serce do niewysłowionego żalu.

To też Lucyna patrzyła się, patrzyła i z uśmiechniętych jéj ócz płynęły łzy.

Uśmiechała się i płakała.

A przez sień professor prawił publiczności:

— Mam się czem chlubić!.. Jestem dumny

i... szczęśliwy... Goniłem niegdyś za innem szczęściem...

Tu spojrzał w oczy pani Julji. Ta się zmięszała. Zrobiła giest taki, jakby nagle wbiegło jéj do myśli jakieś wspomnienie. Professor ciągnął daléj:

— Goniłam za innem szczęściem, które do mnie z pięknych ócz wyglądało i nęciło mnie ku sobie... I odwróciło się, wzgardziło mną, pokazano mu złotą ponętę i ono za tą ponętą poszło, zostawiając mi na pocieszenie... pchłę... Ta pchła otworzyła przedemną nowy świat i dała mi nieznane szczęście... Gdyby tamta, która mną niegdyś wzgardziła, przyszła do mnie dziś i prosiła „weź mnie,” odtrąciłbym ją z pogardą...

— Oto moja zemsta!.. zakończył, rzucając ręką ku pani Julji!..

Nikt nie rozumiał o co chodzi.. Jedna tylko pani Julja migotała oczami, jakby była zażenowaną. Wszyscy inni patrzyli na professora, jak się patrzy na deklamującego i giestykulującego warjata, i słuchali go pod wpływem jeszcze podziwu, w jaki wprawiły ich pchły.

Wyraz „zemsta” wywarł na Armulpha wrażenie takie, jakby go z zapomnienia obudził. Zlekka się żachnął i na głos zawołał:

— My się tu bawimy, a nie wiemy co się dzieje tam...

I ręką wskazał na przeciwległe drzwi.

Cóż się działo tam?

Lucyna mimowolnie wyciągnęła rękę i drobną dłoń swoją położyła nadłoni malarza i uścisnęła tę ostatnią. Prosper drgnął jakby od iskry elektrycznéj.

— Nie mam wyrazów na wypowiedzenie panu czem jest ten obraz... powiedziała.

— Waszym swatem... odpowiedział książe, podchodząc i rękę Lucyny w dłoni Prospera przytrzymując.

Prosper się zmieszał i ona się zmieszała.

Książe puścił ich ręce. Odstąpili od siebie.

— Cóż to za cud sprowadził tu panią?.. zapytał książe, chcąc snadź zmieszanie kochanków zagadać.

— Ten cud jest dziełem pana Armulpha.... odpowiedziała zapytana.

— Czy uprzedził jakim jest przedmiot obrazu?

— Nie... Rozpytywałam go, nie chciał mówić...

Na tę odpowiedź książe znacząco spojrzał w oczy Prosperowi, który zacisnął zęby, zbladł i przez zęby rzucił półgłosem wyraz:

— Łajdak...

W téj chwili publiczność wkroczyła do pracowni.

Prosper stanął z boku przed obrazem i ręce na piersiach skrzyżował. Kto nie chciał mógł na twarzy jego czytać oburzenie i obrazę. A miał

słuszny powód— i to nie jeden. Pomijając bowiem cel, w jakim Armulph sprowadził Lucynę, cel, który był aż nadto dla człowieka delikatnych uczuć widocznym: czyż odbieżenie malowidła dla pcheł nie było najdotkliwszą, jaką artyście wyrządzić można, obelgą!..

Stał więc Prosper ze skrzyżowanemi rękami i z pogardliwym na ustach uśmiechem. Chciał udawać obojętność.

Publiczność skupiła się przed obrazem.

Kto widział kiedy minę człowieka, który zamiast wina napił się octu, ten może mieć wyobrażenie o wrażeniu, jakie na publiczności wywarło zawiedzione oczekiwanie. Spoglądano, to na obraz, to na malarza, to na Lucynę, to znów jedni spoglądali na drugich, jakby się jedni drugich pytali:

— Co to się stało?..

Mieli troche rację. Wykradzionym im został spektakl, jaki wyprawić miały spiorunowane boleścią kobiety.

Zapytanie „co to się stało?" znalazło najwybitniejszy swój wyraz w oczach bankiera. Innych zawiedzione oczekiwanie zadziwiło, jego rozgniewało. Przystąpił do obrazu z miną impertynencką, zrobił ustami wzgardliwy ruch i zapytał:

— Cóż to za obdartus?.. Pan malarz nie to nam obiecał...

Piorun nie z taką z chmur spada szybkością,

z jaką w odpowiedź rzucił się na bankiera Prosper. Pochwycił go za barki, podniósł i rzucił ku drzwiom. Armulph padł w objęcia Jagniewicza. Prosper poskoczył z roztwartemi ramiony, zagarnął niemi ile się zagarnąć dało i pchnął przed siebie kupę złożoną z kilku osób.

Rozwścieklenie malarza przechodziło wszelkie granice. Rozwścieklenie to zaćmiło mu wzrok i spotęgowało siły, zyskujące wiele na tem, że napad z jego strony był piorunowym i niespodziewanym. Z tego powodu pchana przez niego kupa, w której znajdowali się Armulph, Jagniewicz, kilku ze złotej młodzieży i paru jeszcze innych, w mgnieniu źrenicy wyleciała za drzwi, do sieni, a z sieni, nim się opamiętać zdołała, znalazła się na galerji.

Na galerji dopiero nastąpiło pierwsze oparcie się, które wywołało rozpacz. Hasłem oporu było przeraźliwe wrzaśnięcie bankiera:

— Gwałtu!.. giniemy!..

Przeraźliwe to wrzaśnięcie przeraziło wszystkich. Ci co byli na galerji rzucili się na Prospera, który zastąpił od drzwi i chcieli sobie drogę do sieni otworzyć. Nastąpiło szamotanie. Tym zaś co pozostali w pracowni trwoga śmierci zajrzała w oczy, pobledli i wsłuchiwali się w tupot i wrzaski. Jeden tylko książe pośpieszył na ratunek. Lecz nim do sieni się docisnął, rapto-

wny łoskot a po łoskocie cisza dały znać, że walka się skończyła.

Galerja się urwała.

Pozostali w pracowni osłupieli.

Pani Julja i pani Prawecka dostały spazmów. Lucyna wyglądała jak posąg z marmuru.

Po chwili ktoś się odezwał;

— A, to nieszczęście...

Po tem odezwaniu zaczęto się ruszać i z ruchu przekonano się, że nieszczęście spotkało tych tylko, co byli na galerji, to jest: Prospera, Arnulpha, Jagniewicza i innych. Było to pocieszającem, wszakże nie dla Lucyny, ani dla pani Julji, ani dla pani Praweckiéj. Śmiertelna trwoga przejmowała panie, podczas kiedy panowie przyszedłszy do przytomności, wyglądając przez okna, czynili różne wnioski i przypuszczenia, kręcące się około następującego zapytania:

— Czy wszyscy się pozabijali, czy nie wszyscy?

Sądzę, że i czytelnika interesuje trochę powyższe zapytanie. Pośpieszam przeto z odpowiedzią.

Nie wszyscy się pozabijali. Skończyło się na jednym tylko Jagniewiczu. Duży i ciężki chłop, wyprzedził wszystkich w spadaniu, i spadł tak nieszczęśliwie, że się łbem wyrżnął o bruk i łeb

się w kawałki rozskoczył. Inni się tylko pokaleczyli, jedni ciężéj, drudzy lżéj.

Bankier starł sobie nos, jakby mu kto zpiłował. Od tego to czasu chodzi z plastrem na twarzy i twierdzi, że gdyby nie odwaga, jaką w powietrzu okazał, byłoby go spotkało to samo co Jagniewicza.

Prosper złamał nogę.

Tego zaś, co się stało z pozostałymi w pracowni, zdaje mi się, najniedomyślniejszy domyśli się czytelnik. Jednakże, nie spuszczając się na domyślność, która autorom straszne niekiedy wyrządza szkody, powiem, że najprzód, wszyscy wydobyli się ztamtąd za pomocą drabin, których pożyczono u straży ogniowéj; potem, każdy udał się do siebie, wyjąwszy pani Julji i Lucyny, którym ofiarował gościnność książe, a to z tego powodu, że odnoszony w lektyce Armulph zakazał im wstępu do swego dworku; potem w całem mieście zagadano o tym wypadku; potem Lucyna z dwudziestu tysięcy wręczonych ze sprzedaży albumu, zapłaciła bankierowi za mieszkanie i wikt, za siebie i macochę; potem pokaleczeni przyszli do zdrowia; na ostatku... Prosper ożenił się z Lucyną.

KONIEC.